

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Mars 1969

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



# SYRENA

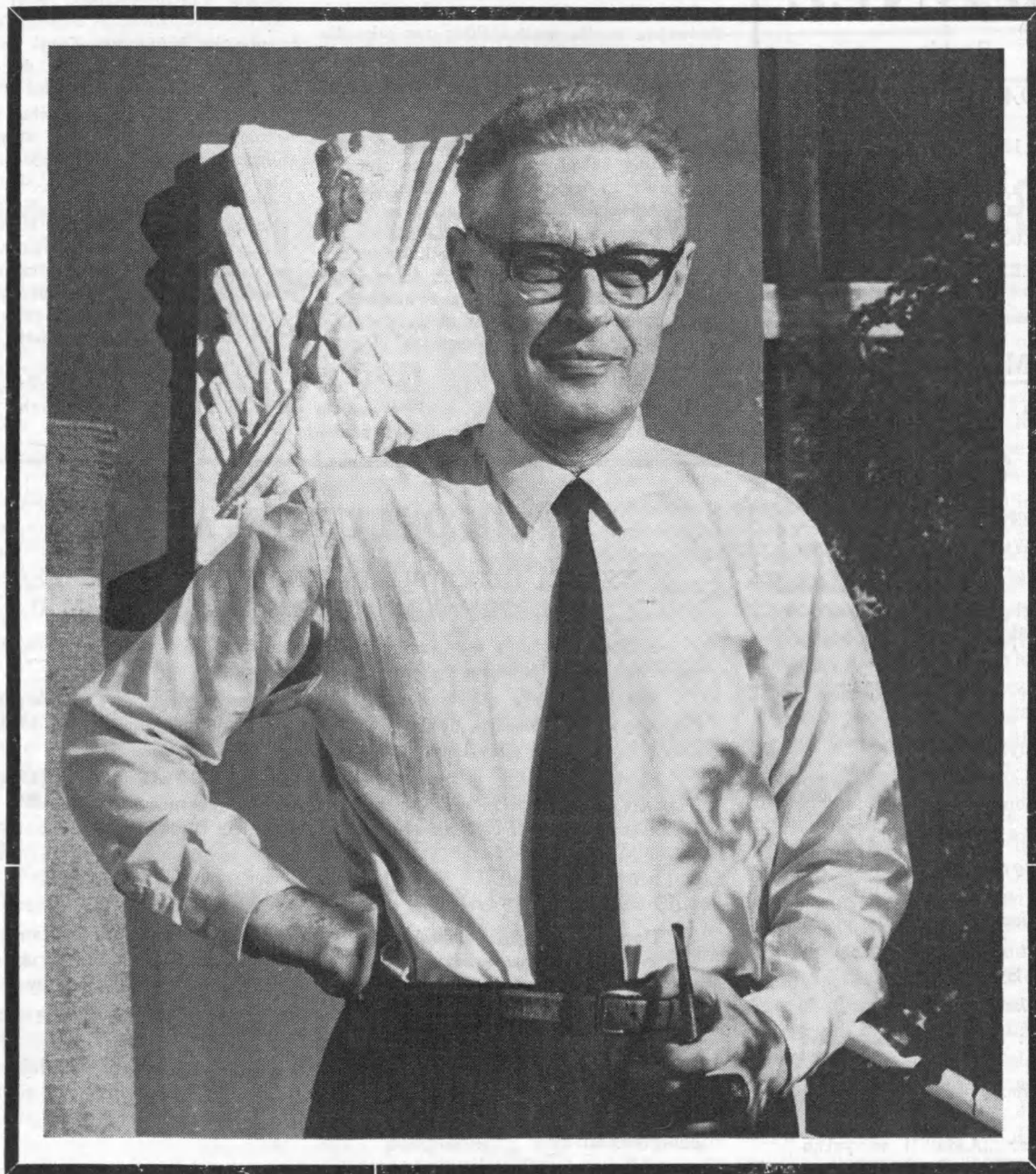
ORZEŁ BIAŁY

MARZEC  
1969

Nr 56/1203

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



**KAZIMIERZ WIERZYŃSKI**

1894—1969

Syn Ziemi Lwowskiej

Wszedł do poezji jako radosny piewca Polski Odrodzonej,  
podjął obronę jej wolności tragicznej i wytrwał  
w tej służbie po ostatni dzień  
życia

F° P 2156

BIBLIOTEKA  
„KULTURY“

Kazimierz Wierzyński  
**CZARNY  
POLONEZ**

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Cena: 12 sh., 1.75 dol. 7.00 f.

KSIEGARNIA S.P.K.

LONDON, S.W. 7.

20, QUEENS GATE TERRACE,

**W NUMERZE :**

A. Czuliowski: „Zostawiłem wam serce...“	1
S. Benedykt: Kazimierz Wierzyński nie żyje	2
M. Danlewiczowa: Wierzyński	3
M. Hemar: Wspomnienie pośpieszne	4
K. Wierzyński: Wiersze	6
Kage: Przegląd spraw wojskowych	9
Z. Grabowski: Co kryje w sobie rok 1969?	10
K. Ostrowski: Rozwarte kleszcze	12
J. Drobnik: Prasa zagraniczna w kraju dyktatury	14
F. Chrzanowski: Zapowiedź samorządu regionalnego we Francji	16
I. Komarnicka: „AL FATAH“	18
F. Goldschlag: Żdźbło w oku bliźniego	19
M. Tomkiewicz: Seksomania acuta	22
S. W. Woystomski: W 50-lecie 5 Dywizji Syberyjskiej	24
K. Brzozowska: Cudzoziemka	26
S. Benedykt: Mini-saga „austriackiego kozaka“	28
H. Żurkowska: Niedźwiedź i sprawa polska	31
Klara Evans: „Ania“ i wszystko inne	33
J. P. H.: Między plotką i anegdotą z życia polskiego	34
J. N. O.: „Persony i graty“	36
W. Stefański: Walka z czerwoną zarazą	39
Książki nadesłane	40

L I S T Y

LATA SZKOLNE KAZIMIERZA  
WIERZYŃSKIEGO

Na wiadomość o zgonie Kazimierza Wierzyńskiego jeden z jego kolegów z ławy szkolnej nadesłał list, który zawiera kilka interesujących szczegółów z młodzieńczego okresu życia Poety.

...W ubiegły piątek z przerażeniem usłyszałem wiadomość o Jego nagłej śmierci. Podwójna to dla mnie strata: raz jako dla Polaka, drugi raz jako dla kolegi Kazika. Jest nas tu czterech Jego kolegów. Na wszystkich nas podziałała ta smutna wiadomość jak piorun z jasnego nieba. ..Nasza stryjska czwórka pamięta Go świetnie. Pamiętamy nawet, w której ławce siedział. Zawsze w rzędzie ławek od okien. Zawsze był porządnie ostrzyżony, mundurek leżał na nim jak na oficerze c.k. armii. Nie pamiętamy, aby się z kim kłócił. Uprzejmy, greczny, pełen wdzięku — jak dziewczyna. Nadaliśmy Mu też przydomek dziewczyński: „Zośka“, a że w lecie obsypywały Go piegi — mówiliśmy „piegowata Zośka“. Nie gniewał się na nas za to przezwisko, wiedział że to z serca. Śmiał się z naszego słowotwórstwa. Nie miał w szkole wrogów, lubili Go wszyscy, my i profe-

sorowie. Gdy w sobotę usłyszałem Jego głos w recytowanym przez Niego i nagrany na taśmie Jego wierszu (o J. Palachu) miałem wrażenie, że za chwilę zacznie tym samym głosem, który nie zmienił się przez pół wieku, recytować „aurea prima“ lub „menin acide thea“. Głos Mu pozostał młodzieńczy aż do śmierci. Wyglądał — jak pisałeś — też. Chodziliśmy na to samo tajne kółko i obrabiali począciwego Limanowskiego, póki nie zjawił się Horzyca, wówczas akademik — dla nas sztabaków bożyszcze. Kazał odłożyć Limanowskiego i zabrać się do studiowania „Róży“ i „Legendy Młodej Polski“.

Akademik Horzyca zakochał się na umór w najpiękniejszej pannie stryjskiej Stasi Gozdeckiej. Ona mu sprzyjała, ale rodzice nie. Zakazali wstępu do domu „smarkaczowi bez stanowiska“. Z pomocą Horzycy przyszedł Kazik. Brał od Horzycy „liebeshriefy“ i ukradkiem wsuwał je do skrytki w ogrodzie Gozdeckich, zaś stamtąd wyciągała listy Stasia. Przypomniał to Kazik w pośmiertnym wspomnieniu o Horzycy, drukowanym w londyńskich „Wiadomościach“.

Nie ma Horzycy, od paru dni nie ma Kazika. Robi się pusto koło nas.

K. F.

**KOMUNIKATY**

**KSIĘGA DZIEJÓW 7 PUŁKU UŁANÓW LUBELSKICH  
IM. GEN. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO**

Z okazji 50-lecia powstania Pułku w r. 1918, Koło Żołnierzy wydaje Księgę jego dziejów z przedmową gen. Sosnkowskiego.

Książka ukaże się w drugiej połowie marca br. Cena egzemplarza, obejmującego ok. 600 stron druku £3.13.6 wraz z portem pocztowym, w przedpłacie, którą będzie się przyjmować do 30 marca 1969 r.

Czeki, M. O. i P. O. prosimy wystawiać na „POLISH 7 LANCERS BENEVOLENT FUND“ i wraz z zamówieniem nadsyłać do skarbnika Koła: W. Rubnikowicz, 34, Portman Avenue, London, S. W. 14, England.

**ZŁOTY JUBILEUSZ**

Doroczne święto polskich wojsk pancernych obchodzone w Londynie tradycyjnie 29 września, w dzień św. Michała Archanioła, patrona broni pancernej, odbędzie się w tym roku 1 czerwca w dniu święta 1 pułku czołgów.

Będzie ono uczczeniem 50-lecia przybycia z Błękitną Armią gen. Hallera z Francji do Polski 1 pułku czołgów.

Święto urządzone jest wspólnie przez Zrzeszenie Kół Oddziałowych Broni Pancernej, Koło Żołnierzy 1 pułku czołgów, Koło koleżeńskie 1 pułku pancernego i Koło 2 pułku pancernego. Oba pułki pancerne wywodzą się z 1 pułku czołgów.

Byli żołnierze czołgów rozsiani po świecie, proszeni są o podanie swych adresów do: Bohdana O. Jeżewskiego, 298 Northfields Avenue, London, W. 5, England.

**Kto uścił prenumeratę... „ten żyje szczęśliwy,  
i noc ma spokojną i dzień nietęskliwy“**

Serce, które się już u końca za-  
trzymało tuziemskiej podróży w  
chłodny lutowy wieczór w londyń-  
skim szpitalu św. Jerzego. Serce, któ-  
re miłowało nas wszystkich kryni-  
cznie czystym, wszechogarniającym  
uczuciem i lgnęło do nas całe, tę-  
tniące przyjaznym rytmem, zawsze  
szczęściu innych rade, zawsze współ-  
czująca w potrzebie.

„Nie mijaj mnie, nie odchodź  
człowieku przechodniu,  
Wyciągnij do mnie ręce i powiedz  
bracie!“

A w innym miejscu:

„Wyprowadziłem się ze siebie,  
Mieszkam... w każdym z Was“.

W orszaku poetów Polski odrodzo-  
nej Wierzyński kroczył na samym  
przedzie. Przez Niego płynął stru-  
mień piękności, który swój bieg gór-  
ny brał od Mickiewicza i Słowackie-  
go. Dany Mu od Boga szept poety-  
cki umiał dzierżyć z największą go-  
dnością, a królestwo sztuki polskiej  
przekazał następcom pomnożone o  
wartości prawdziwie głębokie i nie-  
przemijające.

Obok mistrzowskich elementów  
kompozycyjnych strofy i języka jak  
„aniołów granie“, najwięcej może  
łączyło go z naszymi wielkimi ro-  
mantykami ściśle zespolenie się z  
losem narodu. Po krótkim okresie  
młodzieńczego chlōnienia uroków ży-  
cia z beztróską „wróbla na dachu“,  
kiedy „był bez powodu i bez końca  
rad“ w miarę jak horyzont polity-  
czny zaciemniał się, a jednocześnie  
rozrastała i potężniała świadomość  
uzdolnień twórczych, Wierzyński —  
podobnie jak Jego poprzednicy  
sprzed wieku — zaczął dostrzegać,  
iż szczęścia nie doznaje w domu, bo  
go nie ma w ojczyźnie. Po latach,  
kiedy będzie robić rachunek ze swe-  
go żywota, powie:

„Zakochałem się w ziemi, która mnie  
urzekła,  
Chciałem unieść ją w niebo,  
wstąpiłem do piekła“.

To piekło, które zawisło nad Euro-  
pą i Polską w postaci drugiej wojny  
światowej, znajdzie jakże wymowny  
wyraz w całym szeregu jego utwo-  
rów.



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 56/1203

MARZEC, 1969

Rok XXIX

ANTONI CZUŁOWSKI

## „ZOSTAWIŁEM WAM SERCE...“

Dramat krwawiącej się Polski,  
bohaterstwo naszego żołnierza wal-  
czącego „na wszystkich ziemi tego  
świata“, tęsknota za krajem raz po  
raz wynurzają się z wierszy na-  
brzmiałych gorczą, troską, bólem,  
uczuciem krzywdy i niesprawiedli-  
wości. I już z drogi tej nie zejdzie  
do ostatnich dni swego utrudzone-  
go życia. Ogłoszony tak niedawno  
„Czarny Polonez“ jest najwymow-  
niejszym dowodem tego dogłębnego  
przeżywania przez poetę „wolności  
tragicznej“ swojego narodu.

Fizjognomia duchowa Wierzyń-  
skiego urzeka doskonałością swej  
struktury. Ze zdolnościami artysty-  
cznymi łączył w sposób wyjątkowo  
harmonijny ogromną kulturę umy-  
słową i literacką, popartą bogatym  
doświadczeniem życiowym. Sam  
wspinał się niestrudzenie na szczyty  
doskonałości i innych do tego przy-  
kładem i słowem zagrzewał. Chciał  
wszystko dźwigać, ulepszać, dosko-  
nalić. W życiu i w sztuce, od święta  
i na codzień. Posiadał wrażliwość  
najczulszego sejsmografu, ogromną  
i nigdy nieślabnącą ciekawość życia  
i ludzi, olbrzymi krąg zainteresowań  
rzeczami wielkimi i małymi.

Miał wybitnie rozwinięte poczucie  
misji poetyckiej, i powołania swego  
nie rozmiękał na drobne. Wierzyń-  
ski wierszy swoich nie pisał, On je  
t w o r z y ł.

„Bóg wziął nas do swego rzemiosła  
I nakazał służyć...“

Innym, charakterystycznym rysem  
jego osobowości była pracowitość,

która nie знаła ograniczeń wieku.  
Czuł się nieswojo, wręcz źle, ilekroć  
dzień Mu upłynął bezpłodnie. Kilka-  
krotnie, prawdopodobnie gdy Mu już  
bardziej doskwierał ciężar lat, za-  
pewniał, że po skończeniu pracy,  
którą miał na warsztacie, zawiesi na  
kołku swoje pisanie po to, by na-  
stępnego dnia przystąpić do nowej  
roboty. Pochłaniał bez przerwy ogro-  
mne ilości książek i prasy, był do  
ostatka częstym widzem w teatrze,  
na koncertach i w kinie.

Cechowała Go szczerą prostotą i  
niezwykła wprost u człowieka Jego  
miary skromność. Liczne dowody  
uznania i hołdy wyrażane Mu ze-  
wsząd ani na chwilę nie wytrąciły  
Go z ram zwykłego śmiertelnika, w  
których, zdawało się, czuł się najle-  
piej. Ilekroć publicznie podnoszono  
Jego zasługi na polu literatury —  
jak np. przed paru laty na wieczo-  
rze w Londynie z okazji siedemdzie-  
siątej rocznicy Jego urodzin — tyle-  
kroć Wierzyński zdradzał zakłopo-  
tanie i jakąś niezwykle ujmującą  
nieporadność w przyjmowaniu naj-  
bardziej nawet zasłużonych po-  
chwał.

Nie miał w sobie nic a nic z akto-  
ra. Ten rys szczególnie Jego charak-  
teru sprawił może, że Poeta raczej  
unikał kontaktu z szerszą widownią.  
Wolał wyrażać się językiem pisa-  
nym niż mówionym, wolał drukować  
swoje wiersze niż je wygłaszać. Je-  
żył się z reguły na widok pustego  
frazesu, wielosłowia i wszelkiej  
przesady.

(Dokończenie na str. 2)

# KAZIMIERZ WIERZYŃSKI NIE ŻYJE

**N**IE MOŻNA pisać — umarł. Nie żyje. Jeszcze wczoraj żył tu między nami, w tym naszym polskim ośrodku, w którym spędził ostatnie swe lata po osiedleniu w Londynie. Żył tak, jakby tu była ta mała Polska, zastępująca Mu Polskę prawdziwą, w której się urodził i dla której pracował zawsze, gdziekolwiek los Go zagnał, zawsze z myślą o Niej. To jest pierwsza najszczęśliwsza prawda życia Jego.

Jeszcze wczoraj, na parę chwil nim zasnął, wesóły i pogodny, duchowo jakby ten z „Wiosny i Wina“ powiedział przelotnie: „Spracowałem się dziś solidnie“, — oto ukończył i oddał do druku ostatni chyba czy jeden z ostatnich wierszy z cyklu, który ukaże się już pośmiertnie.

Nie uznawał życia bez twórczej pracy, był nieszczęśliwy, więcej na-

(Dokończenie ze str. 1)

Obca Mu była, tak częsta w profesji pisarskiej, zazdrość o sławę. Co więcej, nie pomijał nigdy okazji by pochwalić czyjs artykuł lub też utwór, jeśli na to istotnie zasługiwał. Szczególną przyjaźń i zainteresowanie okazywał młodemu kolegom po piórze. Miał dla nich zawsze słowo zachęty i życzliwej rady, dodawał im odwagi, budził ich entuzjazm.

Ujmował, zniewalał do miłości i jako człowiek ze wszech miar dobry i jako artysta wielkiej miary.

„Pod blask ułożę  
Was mego słońca“.

Ogromną ponieśliśmy stratę. Chciałoby się powiedzieć za Jego przyjaciela Lechoniem: „Smutek mnie taki ogarnął, że aż skomla“. Odtąd już tylko Jego dzieło, wielkie, nie-  
spożyte trwać będzie poprzez pokolenia.

„Myślałem tylko jeszcze, że sam was  
uleczę  
Zanim posiądę wiedzę, która dziś mi  
na nic,  
Zostawiłem wam serce martwe i  
człowiecze  
A wzięłem spokój puszczy i wieczność  
bez granic“.

Antoni Czułowski

wet zrozpaczony, gdy dzień jakiś mijał mu — a nie są to przecie dni łatwe w naszych warunkach — bez parugodzinnego wysiłku, bez możliwości odnotowania w swoim diariuszu jakiejś nowej pozycji, czegoś konkretnego.

Praca twórcza, tak bardzo tematycznie różna, tak rozległa na którą trudno znaleźć rzetelnie prawdziwe i właściwe określenie, praca w ciągu przeszło pół wieku, od legendarnego listopada 1918 roku postawiła Go w naszej literaturze na naczelnym miejscu. Unikać trzeba w klasyfikowaniu Jego wielkiego dorobku pobieżnie oklepanych sloganów czy sformułowań takich, które by stały w sprzeczności z wielkością Wierzyńskiego, w sprzeczności z Nim, jakim był zawsze, na codzień i od święta.

Historycy literatury, pisarze i krytycy swoi i obcy niejedno już o twórczości Wierzyńskiego napisali. I wiele jeszcze mają do powiedzenia.

Słyszę jeszcze przemówienia — nie w jubileuszowym stylu, ale z najszczęśliwszego uznania, z głębi serca płynące, pogodne, jasne, pełne podziwu i uznania tych najbliższych przyjaciół czy tylko znajomych z emigracyjnego Parnasu czy Olimpu, gdy nie dawno w roku 1964 postanowiono uczcić 50-lecie Jego twórczości, 70-lecie urodzin. Na najwyższym poziomie ujęcie dotychczasowych dokonań, szlachetne i cenne podsumowanie całej, pół wieku trwającej i tak wielostronnej pracy poety, postawy człowieka i pisarza. Pięknie naszkicowane sylwetki Jego i Jego najlepszej towarzyszkii życia, natchnienia — Pani Haliny.

Przypadek raczej złożył, że wkrótce potem państwo Wierzyńscy zamieszkali w jednym z domów Kombatantów, w ośrodku żołnierzy Polski Walczącej, w dzielnicy, którą Anglicy w okresie wojny nazywali „Polish corridor“, a skąd dziś jeszcze wyruszają poczty sztandarowe, by manifestować nasze dążenia i nadzieje.

Kazimierz Wierzyński nie należał do żadnego z kół kombatanckich czy oddziałowych, choć w młodości swej był żołnierzem i swoją drogą do wolnej Polski w roku 1918-ym, w szere-

gach Polskiej Organizacji Wojskowej, peowiaków Lisa Kuli z Kijowa tak pięknie i prosto opowiedział na wspomnianym wieczorze jubileuszowym.

Piłsudczykiem był odtąd, czy może jeszcze wcześniej i został nim zawsze, nie z racji swej peowiackiej służby — z głębokiego przekonania. Z wyczuwającego serca poety i z najgłębszego przemyślenia polskiej rzeczywistości niepodległościowej.

Autor „Tragicznej Wolności“, „Krzyżów i Mieczów“, „Wiosny i Wina“ i wielu innych tak drogich sercom żołnierzy wierszy, był członkiem wszystkich kół, członkiem honorowym. I czymś znacznie więcej jeszcze, co znów trudno określić i nazwać.

Gdy osiadł między nimi — nie znał niemal nikogo, Jego wszyscy znali. Ten zawsze tak pogodny, uśmiechnięty i tak wspaniały swą prostą, rzetelną dobrocią człowiek podbił w krótkim czasie serca wszystkich, wszystkich bez wyjątku.

Gdy w dniu 14 lutego flaga narodowa na pół maszcie zawieszona nad siedzibą SPK obwieszczała, że odszedł z naszego grona Kazimierz Wierzyński — płakali wszyscy. Wszyscy bez wyjątku, najstarsi żołnierze, też swoich nie ukrywając. Bo prawdą jest, że żołnierz, który ze śmiercią zwykł iść pod ramię najdotkliwiej wyczuwa śmierć Wodza czy duchowego przywódcy.

Kazimierz Wierzyński był nie mieszkańcem osiedla, nie jednym z wielu z obozu Polski Walczącej — był uznanym przez ogół wielkim poetą, duchowym leaderem.

Odszedł od nas przedwcześnie, osierocił dotkliwie nasze szereg — pozostanie wśród nas duch Jego wielki, ze skarbnicy tej czerpać musimy siłę i natchnienie na naszej dalszej drodze. Na drodze do Wolnej Polski, do wolności świata. Takiej Polski, wśród wolnych narodów, którą widział w swej najcudniejszej poezji prawdziwie i dogłębnie Wierzyński.

W czasie tego niestety tak krótkiego postoju wśród nas napisał wiele, tworzył ciągle — dosłownie do chwili zgonu.

Niespokojny był ten rok ostatni, ale nikt tak mocno jak Wierzyński nie wsłuchiwał się w tragiczny rytm marcowych wystąpień młodego pokolenia Polski, w manifesty i wypowiedzi pisarzy i intelektualistów, w haniebne gwałty nad bezbronnym narodem.

Jego „Czarny Polonez“ — rozchwytywany w ciągu niewiele tygodni dotarł do kraju, który wyczuwa tę zagniewaną pieśń poety chyba tak samo, a może jeszcze mocniej niż my to tutaj na wolności żyjący — odczuwamy.

Jakby na pożegnanie — podświadomie, bo nie przezuwane dał nam pan Kazimierz — w ostatnim numerze Orła — swoje wyznanie wiary, wiersz z niewydanego jeszcze zbioru „Sen-Mara“, pt. „Zaklęty“:

*„Wciąż musiałem się śpieszyć przez  
[noc i wertepy,  
W górę i w dół, i szeptem  
[powtarzać zaklęcia,  
Nie mówcie, że zbląkany, mówcie  
[o mnie ślepy  
Od miłości, goryczy, od klęsk i od  
[szczęścia.“...*

Gdy na parę chwil przed zgonem po raz ostatni spojrziałem na Kazimierza Wierzyńskiego, którego przyjaźń od wielu lat wyczuwałem, patrząc na przesłany mi już jakby z zaświatów dobry Jego uśmiech — prosiłem Boga, by Ci krzątający się koło Niego lekarze i personel z tej specjalnej ekipy ratowniczej szpitala utrzymać Go mogli przy życiu.

Pomyślałem mimo woli, czy dziś, gdy zamiana serca staje się coraz bardziej częstym zabiegiem byłaby tu możliwa i celowa.

Serca Wierzyńskiego nie mogła żadna siła ludzka, żaden kunszt specjalisty zamienić.

Było to serce z najszczerzego, najszlachetniejszego kruszcu, serce od Boga dane.

To serce dało nam wiele i zostaje z nami.

Żegnając Go, wiemy, że prowadzić nas będzie dalej, że duchem będzie z nami na drodze ku Wolnej i Pięknej Polsce, do której dojść musimy.

Tej, którą wyczarował w swej wspaniałej poezji największy poeta, wieszcz Wolnej Polski.

Stefan Benedykt

MARIA DANILEWICZOWA

B.D.I.C

# WIERZYŃSKI

**KAZIMIERZ WIERZYŃSKI!** Nazwisko to było przez długie lata w Polsce międzywojennej symbolem naraz poezji i młodości. Pisał o wiosnie i winie, o miłości, o sporcie. I jak pisał! Za „Laur olimpijski“ otrzymał w r. 1928 na Olimpiadzie dosłownie laur, medal, nagrodę międzynarodową. Tłumaczono go na kilkanaście języków. Znano jak świat długi i szeroki.

Jako jeden z współtwórców grupy „Skamandra“ był jednym ze śmiałków, którzy przeciwstawili się epigonom „Młodej Polski“, lansując nową poezję przeobrażającą powszedniość w kształt artystyczny i zwalczającą tani patos i wyeksploatowane schematy.

Świetność startu i narzucające się pamięci krótkie i „komunikatywne“ utwory z wczesnego okresu twórczości sprawiły, iż mechanicznie klasyfikowano całą jego twórczość pod nalepką „Wiosny i wina“, określając go jako poetę radości życia, optymistę. A był nim krótko.

Z perspektywy półwiecza, — a w tych właśnie ramach zamyka się wielki dorobek pisarski Wierzyńskiego — widać, że parokrotnie odnawiał warsztat i podejmował coraz trudniejsze zadania. Krytyk literacki, znający przedwojenne tomiki Wierzyńskiego, a pozbawiony dostępu do „Tkanki ziemi“ czy „Kufra na plecach“, nie mówiąc o „Czarnym polonezie“, zna tylko wczesny okres dojrzwiania i formowania się wielkiego poety, jednego z największych w dziejach naszej literatury. Słowacki i Norwid nie doczekali się za życia pełnego uznania ich rangi poetyckiej. Wierzyński miał ją u nas, na Emigracji, w Kraju był albo legendą, głosem z audycji radiowych — albo poetą prawie nieznanym. Po „Czarnym polonezie“ nazwisko jego tępione jest konsekwentnie przez cenzurę, a jeśli po zgonie Poety wiersze jego pojawiają się w wydaniach krajowych, „amnestia“ ta nie obejmie napewno bardzo istotnej części jego twórczości, wierszy mówiących o Kraju.

Wierzyński z lat 1930-ych, autor

„Wolności tragicznej“ nie był już beztróskim autorem „Wróble na dachu“ zafascynowanym urodą życia. Z odwagą i wizjonerstwem, z pełnym poczuciem odpowiedzialności a zawsze pod przemożnym impulsem natchnienia wyrażał wtedy bezpośrednio swoje reakcje na wypadki polityczne, komentował oznaki zbliżającej się katastrofy.

We wrześniu 1939 r. w pierwszym tygodniu wojny ukazał się w Warszawie ostatni numer „Wiadomości Literackich“. Dołączono do niego ulotkę z wierszem „Wstążka z Warszawianki“, w którym Wierzyński tymi słowami przywołuje widmo Marszałka:

Naprawdę idzie pożar. Na ściany się  
wedrze  
Gęstą luną, co wszystko z tych  
murów pościera  
Oprócz krwi zapisanej na waszej  
katedrze:  
że tym się tylko żyje, za co się  
umiera.

Wiersz ten otwierał poezję wojenną, a z nią nowy rozdział historii literatury — i początek tułaczki Wierzyńskiego. Bez przesady powiedzieć można, iż w trzydziestolecju 1939—1969 przeżył poza Polską miejsca zagrażać nie potrafił i krążył jak błędny rycerz z miasta do miasta, z kraju do kraju „cygańskim wozem“ z „kufrem na plecach“. Raz tylko w latach powojennych osiadł na dłużej w Sag Harbor, w Stanach Zjednoczonych, z dala od ludzi, nad Oceanem. Tam właśnie w „Korcu maku“, „Siedmiu podkowach“ i „Tkanca ziemi“, po odrzuceniu dawnej techniki wiersza, osiągnął Wierzyński, poeta, tę doskonałość formy, która cechowała utwory jego do końca. Bo pisał dosłownie do ostatniego dnia — a tragiczna data Jego zgonu, 13 lutego, nie oznacza — dla nas — końca Jego twórczości. W najbliższych tygodniach czy miesiącach ukaże się w Paryżu tom wierszy „Sen mara“, do którego dosyłał dalsze wiersze m.in. wstrząsający tren na zgon studenta czeskiego Jana Palacha.

(Ciąg dalszy na str. 4)

Zerała go nostalgia. Adresy pocztowe były bez znaczenia. Spotykając go w Paryżu, Włoszech czy też Szwajcarii odnosiło się wrażenie, że kraje te właściwie nie istnieją, są tylko materiałem do porównań z Polską. W „kufrze na plecach“ nosił Polskę. Był Polską. Na neutralne tła obce wpisywał swoją tęsknotę i niepokój. Żył zresztą od wielu lat „na kredy“, poznawszy wcześniej grozę śmiertelnego ataku. Wiedział, że przyjdzie znowu, uczył się cierpliwie, jak godnie wyjść na spotkanie śmierci. To wszystko da się wyczytać w najpiękniejszych Jego wierszach, — np. w „Moich pieśniach“:

„I wytrwamy uczciwie do końca.  
Aż po ostatnie słowo: śmierć,  
Która stanie się ciałem  
I podchodzi już blisko.  
Przywalcie mnie wtedy kamieniem,  
Przysypcie piaskiem i zapomnieniem  
I nie lękajcie się,  
Jak ja się nigdy nie bałem:  
Zostaną tu moje  
Rogate księżycy,  
Drzewa i panny  
I złote pszenice,  
Zioła i słowa,  
I to mnie przechowa,  
Bo ponad wszystko,  
Bo ponad śmierć je  
Wam wyśpiewałem“.

Na to, by móc napisać „Czarny polonez“ (— a pisał go, płacąc „w naturze“ ostatnimi miesiącami życia —) Wierzyński musiał tkwić w rzeczywistości krajowej, choć fizycznie przebywał w Anglii. Dlatego „śmieszna nędza polska“ jest dla niego przedmiotem „ranionej miłości“ a ta jest „samotna, gorzka“. Jak mógł wczuć się w nią tak dot-

kliwie, tak boleśnie? Przez słowo, obraz, muzykę, przez te pierwsze i najprawdziwsze słowa i reakcje „ludzi z Kraju“, przez filmy, książki, płyty z Polski, reportaże, fotografie, przez wczytywanie się w teksty i podteksty, przez **wszystko**. Każdy, kto zetknął się z Wierzyńskim, zdumiewał się z reguły ostrością jego spojrzenia i pamięci, jego — nie waham się użyć tego słowa: wizjonerstwem. To więcej, niż fizyczne przebywanie w Nieborowie czy Oborach albo krążenie po Rynku Starego Miasta w nowym jego kształcie.

Jest wśród wierszy dawnych, drukowanych w „Kufrze na plecach“ bardzo istotny utwór Wierzyńskiego pt. „Po przeczytaniu wstępu do antologii Poezja polska 1914-1939“, w którym poeta rozprawia się z autorami słowa wstępnego, sprowadzającymi przedwrześniową jego twórczość do „beztroskich wierszy“, obliczonych na kokietowanie młodych czytelników. Odpowiadając im pisze Wierzyński:

„Mówcie ze mną o wszystkim  
z tamtych czasów  
Tylko o pokoleniach nie.  
To miałkie prochy,  
Które ze świata  
Co drugi mocny wiatr wymiata...

O pokoleniach nie.  
Gdzie, do jakiego ja należę?

Dla mnie wysokie, nowe i stare  
wiele.

... Ja jestem z lotu ptaka  
Doświadczony i hardy  
W skrzydłach mam przeszłość i  
przyszłość  
Na czele własnej mej awangardy  
Odnawiam własną mą niezawisłość“.

Był istotnie zjawiskiem ponadczasowym. Kłamał kalendarz, kłamała metryka. Rówieśnicy uważali go za młodzieniaszka, młodzi nie odczuwali różnicy wieku, „średniaków“ nie dostrzegał — tak, jak nie dostrzegał terażniejszości powszedniej — bo „w skrzydłach miał przeszłość i przyszłość“.

Wobec straty tak świeżej i bolesnej „był“, „tworzył“ — czas przeszły — brzmi jak bluźnierstwo. Będzie. Nie przemienie. Przyszłość należy do Niego.

Maria Danilewiczowa

**PRZYJECHALI** we czterech do Lwowa, z wielkim wieczorem autorskim, nie takim jakie my, lokalne pocęćka, urządzaliśmy po małych salkach, po kątach, po kawiarenkach, przyjechali z ogromnym fasonem, zrobili wieczór autorski w lwowskiej filharmonii, w sali kina „Apollo“, sala była wybita na osiemset czy tysiąc osób, pierwszy raz we Lwowie pokazali się we czterech, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Antoni Słonimski i Kazimierz Wierzyński, rok był 1924-ty. Mówili wiersze, Tuwim znakomicie, czystym pięknym głosem, śliczną dykcją, naturalnie i prosto, Lechoń okropnie, pod nosem, Słonimski śpiewnym dźwięcznym barytonem, miał taki specjalny uroczysty głos do mówienia wierszy, Wierzyński najgorzej, bo mrucał, jękał się i mylił, skrypt trzymał przy czach i zasłaniał sobie twarz i usta, oczywiście wtedy nie było mowy o żadnych mikrofonach, ale to nic nie szkodziło, on miał powodzenie największe, taki był piękny, oczy rwał. Najstarszy z nich wszystkich, wyglądał najmłodziej. Był pokazowym skamandrytą, mówił swoje wierszyki pół wesole, pół studenckie, z „Wróblu na Dachu“ i z „Wiosny i Wina“, wszystkie pensjonarki od Strzałkowskiej i Olgi Kammerling i od „Królowej Jadwigi“ zakochały się w nim na zabój. Oni właściwie byli czterema „beatlesami“ nowej polskiej poezji. Poznałem się z nimi wtedy, wszyscy, Tuwim najuprzejmiej, zachęcali mnie, bym wpadł do Warszawy. W rok później wpadłem w rok po tym wieczorze byłem z nimi wszystkimi na ty, zaczęła się nasza przyjaźń. Ile to lat temu? Okrągło czterdzieści pięć.

Przez wszystkie moje lata warszawskie, z Wierzyńskim najmniej miewałem styczności, najwięcej z Tuwimem i Słonimskim, ale tak się złożyło, że właśnie jego, Kazia, wywoziłem do Rumunii we wrześniu. Dobiłem wtedy z Warszawy do Lwowa, po okrutnych przygodach w przejeździe przez Lublin. We Lwowie natknąłem się na Kazia i jego czarującą żonę, Halinę, oni dwoje i dwoje innych pasażerów, Stefan Norblin z żoną, Leną Żelichowską, wyjechali ze mną, w moim dwuosobowym wozie, ze Lwowa, przez Śniatyn, do Rumunii.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### WYDARZENIA MARGOWE 1968

Wybór dokumentów z przedmową  
prof. Zygmunta Baumana

Cena: 25sh.; 15.00 F.; 3.75 dol.

KSIĘGARNIA S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# WSPOMNIENIE POŚPIESZNE

W tej koszarnej eskapadzie, Kazio, od świtu do nocy, na każdym postoju, a byli ich setki, rozmawiał z ludźmi, chciwie, niestrudzenie, na gorąco pytał się, dopytywał, brał na spytki, wyciągał od każdego w koło jego wrażenia, uwagi, przejęcia, refleksje, była w nim nieustająca chłonność, ciekawość ludzi, nie reporterska, ale życzliwa, uważna, współczująca. Każdy zagabnięty jakoś to czuł, każdy mu się zwierzał, każdy mu ufał.

Kiedyś, u swoich początków, skamandryci zaproponowali, że dla swojej poetyckiej grupy, łączącej tak rozmaite style i postawy, przybiorą wspólną nazwę „populistów“. Określenie to ani na chwilę się nie przyjęło. Inspirował je Wierzyński. W Rumunii otworzyły mi się oczy na niego, był naprawdę, w życiu swoim, tak jak w swojej poezji, populistą. Romantyk, zapaleniec, poetycki wyrwidąb i waligóra, był jednocześnie niezmiernie zaradny, bystrze praktyczny. Pierwszego dnia, gdyśm pół żywi dotarli do rumuńskiego Ploesti, on przypiął się do miejscowej książki telefonicznej, wynalazł w niej wszystkie nazwiska o polskim brzmieniu, w ciągu 24-ech godzin nawiązał kontakty, w ciągu dwóch dni, dzięki niemu, byliśmy wszyscy pięcioro gośćmi Anglików w angielsko-rumuńskiej rafinerii benzyny, w Teleajen, a parę mil od Ploesti, tam spędziliśmy razem, w codziennym z sobą towarzystwie, parę miesięcy, potem drogi nasze rozleciały się na długie lata. Wierzyńscy wyjechali do Francji i potem do Stanów, Norblinowie do Indii, ja, przez Turcję, do Brygady Karpackiej w Palestynie.

Wierzyński w Stanach zaczął coraz bardziej obrastać w pióra wielkiej poetyckiej powagi. Przed wojną był poetą czarującym, wesołym, pogodnym, był poetą sportu i żartu, zapału i optymizmu, był prawdziwym poetą radosnej twórczości, z wszystkimi urokami i wadami tego pojęcia. Odmłodził i rozchmurzył polską poezję niepodległościową, w klawiaturze jej nastrojów i tematów

miał swoją własną oktawę, w śpiewnym wiolinie, ślicznie brzmiącą, pięknie nastroszoną. Nie wiem, nie myślę w tej chwili, czy to jego poezja zaczynała odbiegać od coraz tragiczniejszej, coraz trudniejszej rzeczywistości, czy ta rzeczywistość kwaśniała mu w ustach, zepsuta octami Berez i procesów brzeskich, pacyfikacji ukraińskich, bałaganiarskich antysemitizmów, oraz większym rozzuchwaleniem gołdżinowskiej policji, oenerowania i ozoniactwa. Może ta rzeczywistość coraz bardziej odchyłała się od jego, i nie tylko jego, poezji.

We wrześniu narodził się w Wierzyńskim nowy poeta, z dnia na dzień, z gorzkiej nocy na noc, dojrzał i spoważniał, klęska wrześniowa uderzyła weń jakby w gong, dobyte żęń głęboką nutę poetyckiej wielkości. Po śmierci Tuwima i Lechonia, po przymusowym zamilknięciu Słonimskiego, on objął berło Poety Laureata. Był poetą Laureatem pasowanym na tę rangę przez bezporny i jednomyślny instynkt całej emigracji, przez zgodną opinię całego czytającego społeczeństwa.

Niezmierną swoją żywotność, energię, siłę witalną objawiał w każdym utworze, w każdym wierszu, w którym zaduma łączyła się z pasją. Siedemdziesięcioletni poeta ciągle szukał nowych dróg, nowych form, nowego wyrazu. Było w tym coś zasługującego na wielki szacunek, bez względu na rezultaty poszukiwań, niekiedy, coraz częściej, wspaniale trafne i odkrywcze. Wydaje mi się, że Wierzyński teraz stał jakby u progu nowego okresu w swej twórczości, nowej, wtórnej młodej Wiosny i starego Wina.

W dniu swojej śmierci, na godzinę przed atakiem, który go powalił, jadł obiad w Klubie Kombatantów w towarzystwie jednego z przyjaciół. Podawała im do stołu młoda piękna panienska, spytał ją, ile ma lat? Dwadzieścia, powiedziała. Ach, złożył ręce, tyle czasu ma pani przed sobą. Gdyby pani mogła odstąpić mi pięć lat życia! Tak bardzo mi trzeba jeszcze tych pięciu lat!

Jak każdy poeta Laureat, Wierzyński miał poczucie odpowiedzialności nie tylko za tematykę swych wierszy, ale i za ich formę, za obowiązek komunikatywności, za obowiązek odprawiania poetyckich nabożeństw w języku dostępnym czytelnikowi, pięknym i zrozumiałym. Kiedy pierwszy raz, po latach pobytu w Ameryce, przyjechał do Londynu i miał wieczór w „Ognisku“, czytał śliczny wiersz o mowie polskiej. Publiczność zrobiła mu stojącą owację, jakiej on sam nie zaznał nigdy i nikt inny mieć nie będzie.

Nie znałem w życiu człowieka, którego tak nie można było nie lubić, jak jego. „Męski we wszystkim co dla mężczyzny istotne, oczy męskie pociągasz a kobiece mączysz“ — to co powiedział Szekspir do swego przyjaciela widział każdy kto patrzył na Kazia. Miał w sobie magnetyzm atrakcyjności, który emanował z wiecznie uwodzicielskiego wdzięku. Był czarujący, zawsze w dobrym humorze, zawsze żartobliwy, zawsze zjednywał sobie wszystkich swoim zainteresowaniem, umiał pytać, zapytawszy, umiał słuchać, słuchając, umiał być obecny. Wszyscyśmy go kochali i lubili, nie pamiętam, by się kto z nim kiedy kłócił. Był jakby naelektryzowany pogodą i sympatią, kiedy był w pokoju, w tłumie ludzi, od niego szło ciepło, od niego była jasność, wszyscy byli w koło niego, a nikt nie był zazdrośny. Tuwim kiedyś powiedział o sobie, że był aniołem wygnanym na ziemię i skazanym na bytowanie w nieporadnym i niedoskonałym człowieku. Czasem wydawało się, że Kazimierz Wierzyński był Appolinem, który sobie na kilkadziesiąt krótkich, za krótkich, lat wypożyczył ciało człowieka, wiecznego efebą.

Odleciał z powrotem na swój Olimp. Pozostawił nas wszystkich w żalobie. Zubożył nas dotkliwie, okrutnie, na emigracji zostawił srogą czarną lukę. Poezja polska, owdowała po nim, żegna go spośród żywych, wita wśród zapisanych na zawsze w swej historii.

## TYLE JEST WE MNIE BAJECZNEJ POGODY

*Tyle jest we mnie bajecznej pogody,  
I tak szaleństwem mam głowę nabrzmiałą,  
I taki jestem rozlewny i młody,  
Że mi już miejsca jest wszędzie za mało.*

*Wichr jeździ ze mną naokoło świata  
A mego serca złoto jest ze słońca,  
Każda ma lekka myśl gdzie indziej lata,  
I cały jestem bez dna i bez końca.*

*Niepowstrzymany i rozpromieniony,  
Jak elektryczność, jak piorun wichury,  
Szukam gdzieś jakiejś piątej świata strony  
Dla mej wysokiej, szerokiej natury.*

*Nadmiar przelewa się jak szczęście we mnie,  
Po krwi ugania strugą oszalałą  
I ujścia pragnie w mem sercu daremnie!  
Samemu mnie jest już siebie za mało.*

*Moja poezja jak wino musuje,  
(Niech i wam głowy zaćmi i zaproszy!)  
A wiersz mi każdy ze snu wyskakuje,  
Jak srebrny korek mej szampańskiej duszy.*

*Pijany jestem, zataczam się w drodze,  
Rozpycham niebo, trącam świat tokciami  
I bohaterskim tenorem zawodzę  
Prym w głównej arii śpiewanej chórami.*

*Bo która gra jest od życia piękniejsza  
I szczęśliwszego cóż jest ponad życie,  
Co w swojej pełni do serca się zmniejsza  
I olbrzymieje do słońca w zenicie?!*

*Różne, wszechmocne, cudowne, szalone,  
Życie bez nazwy, bez dna i bez końca,  
Niepowstrzymane i rozpromienione,  
Jedyna prawda wszechobejmująca!*

*Wystrzelaj serce! Niech się rozpanoszy,  
Rozhula śmiech twój i niech krew skrzydlata  
Tryśnie spod ciebie na orgię rozkoszy,  
Szampański korku piątej strony świata.*

## PO CO PISZĘ

*Aby coś okazało się piękne,  
Stało się faktem i nie dało się cofnąć,  
Aby odtąd trwało niedosięgie dla nikczemności,  
Aby przy nim bezsilna była nienawiść i przemoc,  
Aby choć taka wolność miała gdzieś swoje azylum  
A wszechpotęga zła choć taki opór przeciw sobie —  
Po to piszę i gdybym nie był pewny, że mam rację,  
Nie wiedziałbym po co istnieję.*

## MARIA MAGDALENA

*W szklanych drzwiach cię poznałem — i blade milczenie,  
Jak strach padło na salę, gdy twe strusie pióro  
Wśród lamp kawiarni czarną zaszumiato chmurą  
I w lustrach gdyś odbiła się, jak przywidzenie.*

*Czemu mię twój liczące twarze wzrok zadrasnął  
Spojrzeniem męki czarnej, jak noc nad Kalwarią...  
Ktoś zerwał się i przepchał poprzez tłum i wrzasnął  
Obłąkanym swym krzykiem rozszarpał się: Mario!*

*O, uchodź stąd, uciekaj i dłońmi obiema  
Zakryj oczy i nie patrz! W tej ulicy ciemnej  
Powiem ci wszystko, cały twój żal nadaremny:  
O, uchodź stąd! Nie szukaj już: Jego tu nie ma!*

*Nie znajdziesz swej miłości w przepaścistej nocy  
Nie pochylisz swej głowy, klęcząca, nie doznasz  
Szczęścia łez dawnych, ani go więcej rozpoznasz,  
Tu nikt nie wie, gdzie skryli się śmieszni prorocy.*

*O, zatul mię swym płaszczem, weź w ręce bez drżenia,  
Mnie, co ostatni w twarzy twej szuka uśmiechu,  
Ustami nóg twych dotknę, Święta Panno Grzechu,  
Za to, czego już nie ma: łaskę przebaczenia.*

## PANIE ZASTĘPÓW

*Może nasz krzyk o łaskę nieba  
Zanadto cię do ziemi zbliża  
Lecz, Wszechwiedzący, spójrz jak trzeba  
Nam do pomocy twego krzyża.*

*Może nasz pacierz przy twym tronie  
Zbyt prosto boskość ucłowiecza  
Lecz, Sprawiedliwy, w tej obronie  
Krzyże podobne są do miecza.*

*Może nie według myśli twojej  
Stowem modlimy się zwodniczym,  
My co w niezłomnej nawet zbroi  
Przy gwiazdach twych jesteśmy — niczym.*

*Ale żeś moc zdeptał węża,  
Co z piekła rodem wiedzie w piekło,  
Daj nam swą łaskę: cios oręża  
Nad naszą próbą niedociekłą.*

*Twarde pancerze i okręty,  
Działa skrzydlate, kule, otów  
Daj wiernym ludom, Królu Święty  
Niebieskich wojsk i archaniołów.*

*I mieczem swym wyprowadź pokój,  
Panie Zastępów, z mroku wojny,  
Ukaż się w chmurach, wyprorokuj  
Nadzieję ziemi bogobojnej.*



Nieśmiertelnej pamięci  
Stefana Żeromskiego

Nacichły wszystkie wiatry od lądu, od morza,  
Umilkły wszystkie burze, spaliły się słowa,  
Nadeszła wtedy wielka, stanęła u łóża  
I wokół rozpostarła się puszcza jodłowa.

Wiedziałem, że tu przyjdiesz czarna, nieodgadła,  
Wiedziałem, że jak matka stęskniona mnie czekasz.  
Po sercu mi się stodycz twoja w krąg rozpadła,  
Wiedziałem, że śmierć przyjdzie, jak ostatni lekarz.

Wiedziałem, że twe szczyty, co słońce przebodły  
I niebo podpierają lesistym kosturem,  
Że te szczyty się zbiegną, że zbiją się jodły  
I strzelą we mnie straszny, przepotężny chórem.

Myślałem tylko jeszcze, że z twej głębi ciemnej  
Wyrwę tę moc okrutną, co szatanom sprosta,  
Każę jej światem wstrząsać, jak wulkan podziemny,  
Każę spalać trąd ziemi, jak duch diagnosta.

Myślałem tylko jeszcze, że sam was ulecę,  
Zanim posiądę wiedzę, która mi dziś na nic,  
Zostawiłem wam serce martwe i człowiecze,  
A wziąłem spokój puszczy i wieczność bez granic.

Przyszłaś, ziemio ojczyzna, zasypałaś oczy  
Ostatnią ciepłą garścią mego uwielbienia,  
Jeszcze słyszę jak szum twój nade mną się toczy,  
Nad światem, nad urodą, nad nędzą istnienia.

### DEFILADA ATLETÓW

Nasza pieśń nie zna waszych uniesień i wieszczów  
Inny sztandar nas zwołał i na czołach legł,  
My stawimy natchnienie, muskuły i przestrzeń,  
Serce, co maratoński wytrzymuje bieg.

Otoczyliśmy ziemię nową panoramą  
I do taktu jej nowy podajemy krok,  
Idziemy drząc, jak pełne człowieka dynamo,  
Tłoczące w głąb arteryj gesty żywny sok.

Świat uderza wraz z nami jednym pulsem rytmu  
W ramionach drzemie rozmach katapult i proc,  
Z naszych mięśni wywodzi się, jak z logarytmu,  
Wola w kleszczach zamknięta, wysitek i moc.

Nasza pieśń ponad światem kołuje, jak sokół,  
Nasza pieśń łączy ludy i stapia je w hart,  
Nasza pieśń się jak morze rozlewa naokół,  
Wszystkie lądy szturmują i wola na start.

Nasza pieśń niesie hasło waszemu pocie,  
Co bogom wieńce wiązał i na skronie kładł,  
Podamy mu niesiony w zwycięskiej sztafecie  
Laur olimpijski, znak nasz, niech zdobi nim świat.

Bóg wziął nas do swojego na termin rzemiosła  
I nakazał w nim służyć wśród burz i rozgromu,  
By wiara nasza góry nad światem przeniosła  
I u stóp mu je kładła, pod próg jego domu.

I otośmy wybrani i stało się słowo  
Pośród nas, którzy biądząc w marzeniu i dźwięku,  
Gdy wieczny ciężar dźwignąc pragniemy na nowo,  
Śmierć mamy w oczach, a rannych na ręku.

Cokolwiek szept nasz powie jęk wszystko zagłuszy,  
Cokolwiek wyśni serce, przekreśli się zbrodnią,  
Szatan zstąpił na ziemię, nie Bóg ludzkiej duszy,  
Góry nikt nie podźwignął, my padliśmy pod nią.

I tak padać w tej służbie będziemy do końca  
I tylko gorzka prawda ostodzi konanie,  
Że w nas był wiary świata jedyny obrońca,  
Bo minie nawet wojna, a słowo zostanie.

### TEGO MI TRZEBA

Za jednym szeptem i jednym tchnieniem  
Sosen czerwonych, za pochYLENIEM  
Brzóz nad piaszczystą drogą do domu,  
Który w ogrodzie dusznym od mięty  
Sznurem jaskótek spał owinięty,  
Tęskno mi. Jak to powiedzieć komu?

W dawne pradawne zaglądam kąty.  
Grottger na stole. Strych. Ciepłe gonty,  
Z których paruje po deszczach woda.  
Na dachu srebrna strzała się kręci  
I z wiatrem leci, wiatrem pamięci,  
Aż się w powietrzu rozwieje. Szkoda.

Rzeka płynęła, jeszcze tam płynie  
Brzegiem wiązonym w gęstej wiklinie.  
Lubiłem w góry chodzić sam jeden.  
Pamiętam Skole, Trościan, Ławoczne,  
Buki miedziane, sny podobocznne.  
Ten świat był w Stryju. Zielona siedem.

Z dworca wołały gwizdem pociągi,  
Jeszcze bym słuchał dziś ich jak ongi.  
Zapach wanilii wrożył Wielkanoc.  
Dawne ulice przebiegam, po co —  
Pytam się luster, widzę: przed nocą  
Matka ze świecą idzie. Dobranoc.

Prastarych czasów szukam niewcześnie,  
Brzóz, sosen, domu. Zostały we śnie  
I stamtąd wiatrem, wspomnieniem nieba,  
I lasów ciemnych, puszczy w Karpatach,  
Przychodzą do mnie szumiec po latach.  
Szumiec o kraju. Tego mi trzeba.

## MOWA I ZIEMIA

Wyczesali ją z buków i brzoź  
Potem furman karpacki ją wioź  
A potem przyłożyli mi ją do ucha,  
I poszliśmy razem, mowa i ja,  
Szerokim gościńcem jasnego dnia  
I zdawało się — świat nas wystucha.

Igliwie i zieleń, smoła i chróst,  
Powoje mitosne od stóp aż do ust  
I wielojęzyczne listowie —  
Wszystko zmówiło się w jeden szept,  
Potoczył się wiernie za nami i szedł,  
Aż ziemia zaczęła śpiewać w tej mowie.

Ogromne obszary wiosen i zim  
I jesień z jałowcem w ogniu i dym  
I ręce pracą pozarte do czarna,  
Sporocone konie z pianą u grzyw,  
Pogoda i deszcze nagłe wśród żniw  
I w chłopskiej wialni lecące ziarna.

I poszliśmy razem, chleb ten i ja,  
Na służbę wesotą dobijać się dnia  
Kiedy otworzą nam drzwi do gospody,  
I podzieliliśmy to co kto miał  
I wtędym długo, szczęśliwie spał  
U szynkarki zmęczonej i młodej.

Szynkarka nie była skąpa i zła,  
Cyganka wróżyła: dojdiesz do dna  
I tam swej prawdziwej dopatrzysz się doli,  
Na harmonii w karczmie ktoś płakał i grał,  
Zielony kogut na dachu piął  
I drzwi się zamknęły za mną powoli.

Więc poszliśmy razem, przyszłość i ja,  
Pytać proroków którego dnia  
Prawdę nam o nas powiedzą,  
Stoła pluskała. Ze wszystkich stron  
Poganiał nas kaszel jesiennych wron,  
Żołnierze z nami szli wąską miedzą.

Ktoś w łupkach kości przekadał, ktoś padł,  
Żołnierz czy przyszłość, czy cały świat,  
I spostrzeżliśmy nagłe, że nie ma wyjścia,  
Że furman już dawno przejechał i zwiózł  
Co pozostało z buków i brzoź  
Do ostatniego liścia.

Więc poszliśmy razem, zguba i ja,  
Na ciemną służbę ciemnego dnia  
I stało się jeszcze puściej,  
I tylko jeden ocalał nam szept,  
Idzie za nami jak dawniej szedł  
I nigdy nas nie opuści.

Zbieramy w kniejach nasz dziki miód,  
Zapachy dereni i chmielny stód  
I napelniamy ule i dzbany:  
O tej stodyczy, objętej snem,  
Niedocieczonej, to jedno wiem,  
Że jestem w niej zakochany.

Miłość niezmienna, zasiana w krew,  
Opילוść senna wezbrana w śpiew:  
Za światem, za światem ktoś nas wystucha —  
I tak idziemy, mowa i ja,  
Do ostatniego przed nami dnia  
Z ziemią przyłożoną do ucha.



## TRZY MOSTY

Jednostki Polskiej Armii Podziemnej, wykonując rozkaz Naczelnego Wodza Armii Polskiej w Londynie, wysadziły w powietrze trzy mosty kolejowe.

Londyn, 28 kwietnia 1944 (PAT)

Nie wierzą nam w Londynie. Na to sposób prosty:  
„Rozkazuję w powietrze wysadzić trzy mosty  
Na linii przyfrontowej. Dwa tygodnie czasu.  
Wykonać!

— I znów poszli powstańcy do lasu.

Idą dni, idą noce i krąg horyzontu  
Opasuje się sznurem, tym sznurem od lontu,  
Tli się wybuch pod ziemią, drży iskra niezgasła,  
Cienie schodzą się zewsząd, podają swe hasła.

Aż o nagłej godzinie ogniste trzy zrywy  
Raz jeszcze z naszej ziemi wydarły się żywe,  
Skoczył most, pękł w powietrzu, zwały się przęsta.  
Cienie pierzchły. A Polska się dreszczem zatrzęsa.

Poszedł szyfr. Wykonano. Jest raport w terminie.  
Radzi sztab i czytają Anglicy w Londynie:  
„Wysadzono trzy mosty na linii Lwów-Kraków.  
Wasza kolej. Wykonać. Nie pytać Polaków.“



## LIST

Montauk — koniec Long Island. Najbliżej do Polski.  
Mgła gęsta, jak wodorost, ruchoma po kostki.

Pustka na wielkiej tacy, na splaszczonym kręgu.  
Kran podniósł szyję z portu, śpi na widnokręgu.

Lecą mewy, coś krzyczą po mglistym suficie,  
Czemu was nie rozumiem? Dokąd tak śpieszycie?

Na co czekam tu jeszcze, wciąż czekam i stoję,  
Na to niedoczekanie ostateczne moje?

Zamknę ten list do flaszki i rzucę ją w morze.  
Nie szukajcie rozbitków. Nic im nie pomoże.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Orzeł Biały, marzec 1969

# Przegląd spraw wojskowych

**WIETNAM:** Nasilenie walk osłabło wprawdzie w ostatnich miesiącach, ale końca ich nie widać, mimo mierzalnej przewagi (zarówno technicznej jak liczebnej) strony antykomunistycznej, która — poza wojskami i milicjami sajsjońskimi — posiada na miejscu ok. 530.000 żołnierzy i lotników amerykańskich, 40.000 żołnierzy koreańskich i ok. 10 tys. żołn. australijskich, syjamskich i nowo-zelandzkich. To osłabienie aktywności bojowej, spowodowanej zresztą nie tyle wstrzymaniem bombardowań Północnego Wietnamu czy podjęciem paryskich rokowań w poszerzonym o przedstawicieli Sajgonu i Wietkongu gronie, ile ogromnymi stratami strony czerwonej, może być zjawiskiem przejściowym. Zależać to będzie od tego, w jakim stopniu zdoła Hanoi te straty wyrównać. Podług oceny Pentagonu wyniosły one jedynie w 1968 roku około 250.000, w tym 21.000 wziętych do niewoli i 17.000 dezertersów. Straty oddziałów antykomunistycznych były, rzecz jasna, znacznie mniejsze, jednak także poważne. Sami Amerykanie mieli w ub.r. 14.521 poległych oraz 46.650 rannych, wymagających odesłania do szpitali, czyli więcej niż w roku 1951 w Korei, który był podczas tamtejszych zmagañ rakiem najkrwawszym, a o 1/3 więcej niż w roku 1967. Nie dziw, że ogólne straty amerykańskie, licząc od początku pospieszenia z pomocą w 1961 roku, wzrosły wskutek tego do 30.600 poległych i około 100.000 rannych.

Gdy do tej hekatombi dodamy poważne straty sprzętowe fakt, że udział w wojnie wietnamskiej oraz uzbrajanie i wyposażanie sił sajsjońskich kosztują Amerykę ok. 25 miliardów dolarów rocznie, jej dążenie do przerzucenia głównego ciężaru walk na siły tubylcze i do wycofania części sił amerykańskich stanie się w pełni zrozumiałe. Czy jednak możliwe będzie wycofanie ok. 100.000 żołnierzy amerykańskich już w bieżącym roku, jak na razie przewiduje Pentagon, zależy będzie nie tylko od możliwości i postawy oddziałów komunistycznych, ale także od stopnia podniesienia wartości bojowej armii i milicji sajsjońskiej. Liczą one wprawdzie już obecnie ok. 800.000 poborowych i ochotników, ale ich kadra oficerska i podoficerska jest wciąż jeszcze słaba. Toteż dowódca sił amerykańskich w Wietnamie, gen. Abrams, jest zdania, że będzie można je zmniejszyć maksymalnie o 50.000, choć wartość oddziałów komunistycznych bardzo się obniżyła, a ich rezerwy się wyczerpują.

**ŚRODKOWY WSCHÓD:** Mimo mniej lub więcej szczerých nacisków mocarstw

oraz pacyfikacyjnych zabiegów ONZ naprężenie raczej wzrosło. Zarówno wskutek niesłabnącej aktywności arabskich partyzantów oraz odwetowej, ale za daleko posuniętej napaści izraelskiej na lotnisko w Bejrucie, jak i wskutek zarządzenia przez gen. de Gaulle'a całkowitego embargo na dostawy sprzętu dla Izraela, które jego pogotowie poważnie osłabiło, a równocześnie usztywniło bezkompromisowe stanowisko pokonanych w 1967 roku państw arabskich. Kiedy Izrael otrzyma w miejsce już zapłaconych „Mirage“ francuskich, amerykańskie „Phantomy“, nie jest jasne. Również nie jest pewne, czy otrzyma z Holandii dostateczną ilość zapasowych części do posiadanych samolotów i broni francuskiego pochodzenia. Obecność silnej floty sowieckiej na Morzu Śródziemnym, napływ dodatkowego sprzętu sowieckiego oraz egzekucja w Iraku (wśród 12 rzekomych szpiegów aż 7 Żydów miejscowych) oczywiście, też nie przyczyniają się do odprężenia sytuacji w tym newralgicznym rejonie. Mimo, że nawet Sowiety, którym bardzo zależy na otwarciu kanału sueskiego, chciałyby uniknąć ponownej konfliktacji.

**WIELKA BRYTANIA:** O niezbyt zadowolającym stanie pogotowia obronnego tego kraju pisałem po raz ostatni w lipcowym numerze „Orla Białego“. Mimo inwazji i okupacji Czechosłowacji przez wojska sowieckie stan ten niestety uległ raczej dalszemu pogorszeniu niż polepszeniu, a jedyną reakcją na sierpniowe wydarzenia i ich epilog było przejściowe wzmocnienie „armii Renu“ jedną brygadą oraz wystanie dwóch okrętów na Morze Śródziemne. Wskutek niedostatecznej ilości zgłoszeń stan liczebny brytyjskich sił zbrojnych nadal się kurczył i osiągnął w grudniu 1968 swój powojenny nadir, mianowicie zaledwie 77.467 w marynarce wojennej, 148.800 w wojsku lądowym i 88.540 w lotnictwie. Zmalała również ilość zgłoszeń do szkoły podchorążych w Sandhurst, reorganizacja wojska, połączona z likwidacją lub łączeniem kilku słynnych pułków, została rozpoczęta, a T.A., czyli armia terytorialna, niemal całkowicie zniesiona. Do tego dochodzi malejący z każdym rokiem zapas wyszkolonych rezerw. Również organizacja obrony cywilnej i przygotowanie kraju do biernej obrony przeciwlotniczej i przeciwatomowej nie wykazuje postępów, choć i w tych dziedzinach sytuacja przedstawia się niedobrze. Wyprodukowanie kilku prototypów nowego sprzętu, jak składane działo ppanc 105 mm lub rakiet plot „Rapier“ lub tań-

sze spadochrony „Unicorn“ do zrzucania zasobników, nie stwarzają dostatecznej przeciwwagi. Zwłaszcza, że wobec braku zamówień zagranicznych ich serijna produkcja byłaby zbyt droga. Podjęte już wzmocnienie policji angielskiej i walijskiej o 2.000 zwiększy jedynie możliwości tłumienia zamieszek wewnętrznych, które się mnożą.

Nie widać również poprawy na odcinku lotniczym — poza lotnictwem morskim, które otrzymało nowe samoloty rozpoznawcze „Nimrod“. Liczne projekty wyprodukowania wspólnie z innymi państwami europejskimi nowych typów samolotów o przesuwalnych skrzydłach m.in. „Harrier“, zdolnych do pionowych startów i lądowań, wciąż jeszcze są przedmiotem dyskusji, choć z amerykańskich „F-111“ zrezygnowano a terminy otrzymania „Phantom“ nie są pewne.

Ponieważ także modernizacja floty wojennej jest hamowana przez brak dostatecznych kredytów, nie tylko liczni komentatorzy brytyjscy, ale także cenniejsze wydawnictwo Janes „Fighting Ships“ biją na alarm.

Kage

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Kazimierz Schleyen

## LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

Księgarnia SPK

20, Queens Gate, Terrace,

LONDON, S.W. 7.

## CO KRYJE W SOBIE

Wybitny publicysta emigracyjny Juliusz Mieroszewski powiedział niedawno, że nie można żądać od publicystyki bawienia się w proroctwa. Nie jest to bowiem domena publicystyki. Jest rzeczą zrozumiałą, że każdy myślący człowiek chciałby przebić się przez zasłonę czasu i wysnuć pewne wnioski co do przyszłości na podstawie obserwacji przeszłości. Jednakże sama przyszłość jest tak niepewna i tai w sobie tyle niespodzianek, iż nawet od mężów stanu nie można się domagać absolutnie jasnej wizji przyszłości. „Któż to mógł przewidzieć?” — powiada polityk w niejednym kraju. A jednak to wzruszenie ramion nie jest przekonywające, albowiem można śmiało powiedzieć, że ludzi przewidujących przyszłość jest więcej niż nam się zdaje i że niekoniecznie jest to jaśnowidzenie. Oczywiście, obserwator polityczny, który chciałby przebić się przez zaporę czasu, musi korzystać szeroko z przeszłości i dysponować wrażliwą wyobraźnią, która potrafi uszeregować wrażenia i przeczucia i dać diagnozę.

W odniesieniu do II wojny światowej mamy proroctwa bynajmniej nie rzadkie, przewidujące katastrofę. Niejednokrotnie już cytowałem depeszę, którą na wiosnę roku 1934 berliński korespondent londyńskiego „Times’a”, niedawno zmarły Norman Ebbutt, wysłał do swego pisma. Ebbutt podkreślił, że Hitler może dawać zapewnienia o pokoju i wyglądać takie i inne przemówienia, ale że temperatura kotła hitlerowskiego jest tak wysoka, a rozbujane apetyty i namiętności — tak potężne, że jeżeli to przegrzewanie kotła potrwa 5 lat, to staniemy w obliczu konfliktu światowego. W „Złotej księdze” francuskiej, wydanej w roku 1940, przytoczono rozmowę posła francuskiego w Sofii z premierem ongiś rządu bułgarskiego Kosielwanowem. Nieznany bliżej polityk bułgarski wyraził wobec posła francuskiego przekonanie, że Niemcy rozpętają wojnę w roku 1939. Jeżeli chodzi o polskie proroctwa, to, o ile się nie mylę, Józef Łobodowski napisał w wiosnę 1939 r. dla jednej z gazet proroctwo, że wojna się zbliża i że wybuch pożaru jest tylko kwestią miesięcy.

Takich cytatów możnaby mnożyć wiele, ale wszystkie one sprowadza-

ją się może do tego, że przekonywające są proroctwa dopiero wtedy, gdy autor, czy wieszczbiarz dysponuje stanowiskiem i trybuną, z której może wygłosić swoje przewidywania. Inaczej brzmi proroctwo jakiegoś Churchilla, a inaczej wybitnego publicysty. Innymi słowy, w tej dziedzinie najważniejszym czynnikiem jest może stanowisko wróżbity i nie chodzi o to co mówi, ale kto mówi. Historia usiana jest trafnymi proroctwami, ale z tego niewielki tylko procent trafił do wyobraźni społeczeństw, albowiem ludzie kierujący losami danego kraju, są zbyt często politykami bez wyobraźni, którzy chcą sobie zaskarbić względy ogółu zapewnieniami o pokoju, czy też ekonomicznej stabilizacji.

Jeżeli spojrzymy teraz na rok 1969, i zapytamy jakie proroctwo można wysnuć z ubiegłych wypadków światowych, to dojdziemy do wniosku, że zadanie proroka w roku 1969 jest niepomiernie łatwiejsze, aniżeli w roku 1939. Pomimo chwilowych zagrożeń sytuacji, a czasem nawet ocierania się o katastrofę wojenną, nie widać wojny w promieniu naszego widzenia. Dalej mamy do czynienia z wyraźną wolą obu stron, to jest Rosji i Ameryki — niedopuszczenia do konfliktu. Co więcej, w roku ubiegłym doszło do wyraźnego spuszczenia z tonu, jeżeli chodzi o groźby moskiewskie pod adresem Zachodu. Dalej mamy do czynienia z sytuacją, która nie wróży wojny. Oczywiście, istnieją niepokojące oznaki, jeżeli chodzi o wyścig kosmiczny i olbrzymie sumy, jakie dwie potęgi atomowe potrafią wydać na badania kosmiczne. Strona militarna tych niebywałych wyczynów pozostaje najbardziej niepokojącym aspektem. Nie wiemy, w jakiej mierze wyścig kosmiczny służy tak zwanej czystej wiedzy, a w jakim stopniu celom wojskowym. Przypuszczalnie, ludzkość nie zdaje sobie sprawy z możliwości militarnych wszystkich rakiet i pojazdów kosmicznych, które przelatują nad jej głową. Nie jest trudne do wytłumaczenia, gdyż wojna kosmiczna

otwiera tak przerażające horyzonty, że niesposób jest uzmysłwić sobie jej apokaliptyczne rozmiary. Przeciwny człowiek nie potrafi objąć tej współczesnej Apokalipsy, a widowisko kosmicznych zdobyczy przekracza wyobraźnię tego właśnie szarego obywatela.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych — Nixon, nie obiecywał zbyt wiele swoim wyborcom i być może, że ta powściągliwość przyczyniła się do jego zwycięstwa. Okres wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, podobnie jak okres wyborczy w innych państwach, przypomina okres narzeczeństwa, w którym szafuje się obietnicami. Późniejsze rządy są już raczej stanem małżeńskim, który przekreśla stare obietnice i wywołuje rozczarowanie. Nixon dał do zrozumienia, że doprowadzi do likwidacji przedsięwzięcia wietnamskiego i kto wie, czy istotnie w niedługim już czasie nie dojdzie do takiego czy innego załatwienia wietnamskiego kryzysu. Nie należy jednak zapominać, że już za rządów Johnsona zarysowały się możliwości jakiegoś pokojowego załatwienia konfliktu wietnamskiego i że sytuacja przypominała nieco staropolskie powiedzenie: „Złapał Kozak Tatarzyzna, a Tatarzyn za łeb trzyma...” Johnson po cichu przyznał się do tego, że cała strategia w odniesieniu do Wietnamu była fałszywa i że trzeba jak najszybciej zlikwidować wietnamskiego raka.

Rozmowy paryskie na temat Wietnamu potrwają na pewno bardzo długo, tak jak swojego czasu rozmowy koreańskie ciągnęły się przez szereg miesięcy. Debaty paryskie, które przez jakiś czas przypominały rozwiązanie kwadratury koła, a raczej stołu konferencyjnego, posuwają się złotym krokiem, ale nie ulega wątpliwości, że samo sprowadzenie do stołu konferencyjnego Północnego Wietnamu stanowiło już duży sukces. Jeżeli chodzi o sprawę Środkowego Wschodu, to Nixon wypowiedział słowa nie wychodzące poza szablonową obietnicę. Orzekł on, mianowicie, że należy rozbroić bombę,

# ROK 1969 ?

która zowie się Środkowym Wschodem. Na pewno jest to szlachetny cel, ale jak ten cel osiągnąć? Głowili się nad tym wszyscy bodaj politycy i mężowie stanu, jeżeli chodzi o stronę zachodnią, ale sprawa nie ruszyła z miejsca. Izrael zachowuje obszary, które zdobył w toku zeszłorocznej czerwcowej ofensywy i uważa je za ewentualny fant, który może rzucić na stół konferencyjny. Ale Arabowie nie mają ochoty spotkać się oko w oko z politykami izraelskimi, albowiem oznaczałoby to uznanie de facto państwa izraelskiego. Kraje arabskie nie chcą po prostu uznać tego państwa i nie widać polityka, czy kraju, który by nakłonił Arabów do rozsądnej polityki pogodzenia się z rzeczywistością. W jaki sposób Stany Zjednoczone zamierzają rozbroić zapalnik czasowej bomby, która zowie się Środkowym Wschodem? Nie sposób dać odpowiedź na to zasadnicze pytanie, ale wnioskować można, że Środkowy Wschód dostarczy nowych kłopotów i Zachodowi i Wschodowi. Rosja na pewno nie jest zachwycona swoim arabskim sojusznikiem i wie, że nie potrafi on odnieść zwycięstwa w starciu z Izraelem. Nie wiemy, jaką pomoc zbrojną dała Rosja Egiptowi, ale być może, że

pogłoski o dużych transportach rosyjskich były przesadzone. Nowym elementem, jeżeli chodzi o morze Śródziemne, jest pojawienie się licznych rosyjskich jednostek morskich. Podobno Rosja ma dzisiaj około 70 jednostek morskich na morzu Śródziemnym i zabiega o bazy dla swoich okrętów w tym rejonie. Na pewno nie przyczynia się to do załagodzenia sytuacji i w ewentualnym konflikcie izraelsko-arabskim flota sowiecka odegrać może swoją rolę. Wydaje się, że ten konflikt — jeżeli do niego dojdzie — jest dalej największym zmartwieniem Zachodu. Wietnam jest czymś, do czego się już ludzie przyzwyczaili i uważają, że jest to nowa odmiana wojny 30-letniej. Środkowy Wschód leży o tyle bliżej Zachodu i w razie nowego wybuchu kroków wojennych, wciągnie momentalnie więcej sił aniżeli konflikt wietnamski, który był sprawą ograniczoną do dwóch lub trzech przeciwników.

Prezydent Nixon nie będzie miał łatwego zadania ani w Wietnamie, ani na Środkowym Wschodzie. W odniesieniu do Europy, proroctwa są może nieco łatwiejsze, niż w stosunku do Wietnamu lub Egiptu. Proces rozluźniania poprzęgów, jeżeli chodzi

o kraje Wschodniej Europy, został zahamowany przez wypadki czeskie. Czesi uważali przypuszczalnie, że nadszedł czas, by wypróbować siłę rosyjską i że Rosja jest słabsza niż się wydaje. Okazało się, że rachuby polityków czechosłowackich nie były trafne. Rosja nie urządziła interwencji typu budapeszteńskiego przesunęła cały problem na daleki tor, a zatem pewnego wykruszenia oporu czeskiego i obstawienia steru rządów ludźmi zaufanymi.

W. Brytania przejdzie zapewne jeszcze raz przez proces obietnic i zawodów: na wiosnę mówi się zazwyczaj, że dojdzie do wielkiej poprawy w jesieni, a w jesieni przyznaje się z mniejszym tupetem, że kryzys finansowy i gospodarczy — pogłębia się. W tych warunkach Anglia nie może liczyć na przyjęcie do Wspólnego Rynku Europejskiego, którego rozmach — dodajmy od razu — wybitnie osłabił. Jest to niewątpliwie minus na tablicy rozrachunków europejskich. Posunięcia de Gaulle'a wydają się raczej retorycznej natury, a w wypadku Kanady i prowincji Quebec, mamy bodaj dą do czynienia ze starczym uporem de Gaulle'a, który podnieca nie wiadomo po co separatyzm etniczny. Cofa to tylko procesy, które przejść trzeba będzie prędzej czy później jednoczenia, a nie rozbijania wielkich całości państwowych.

Zbigniew Grabowski

# 1,000,000

GILLETTE super silver  
wysłał w bieżącym  
roku do Kraju  
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Do 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy“ z 19 lipca: ...„za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów“ otrzymywało się w Kraju do 280 złotych.“
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

**TAZAB & Co., Tazab House** ROLAND GARDENS  
LONDON SW7

Tazab of London Inc., 16, STUYVESANT STREET, NEW YORK 3, N. Y. 10003

o r a z : Représentation de Tazab à Londres, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17-e.

**M**IĘDZY wierszami gazet można dojrzeć, że czynniki kierownicze na Zachodzie są zaalarmowane, choć nie chcą jeszcze niepokoić opinii publicznej. Sprawily to nareszcie wypadki czechosłowackie, jak również i szereg innych posunięć sowieckich, zwłaszcza zaskakująco szybka rozbudowa ich floty wojennej i pojawienie się jej na morzach, w wielkiej odległości od Rosji i w znacznej sile. Na wszystkich bodaj oceanach.

Rychło w czas bić teraz na alarm. Należało to robić zawczasu, od razu po pierwszej wojnie światowej, gdy bolszewicy opanowywali całe imperium carskie. Usprawiedliwienie, że zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale nie mając dość siły, musiano lawirować — nie wytrzymuje krytyki. Był czas, kiedy przewaga Zachodu była tak wielka, że skończyć z tym było możliwe, nawet przez samo zagrożenie. Jeżeli więc wiedziano co się święci (a dezinformacja nie była wówczas tak zorganizowana), to jedynym wytłumaczeniem byłby brak u szczytu mężów stanu dostatecznej miary, którzy byłiby w stanie zdobyć się na tak światoburcze decyzje i wziąć za nie odpowiedzialność.

Jałta sprawiła, że dalszy rozwój wydarzeń stał się jeszcze bardziej oczywisty. Churchill to rozumiał, ale brakło mu już wtedy sił żywotnych by się dostatecznie przeciwstawić. Wszakże u schyłku życia ostrzegał. Z czasem potencjały stron się wyrównały. Beznadziejne paktowanie i drugorzędne posunięcia przewencyjne, to wszystko na co państwa zachodnie zdolne są się zdobyć. Wietnam zawiódł i ma się ku końcowi. Jedynie armia amerykańska w Europie, i zachodniemiecka, bo chyba, niestety, już nie NATO jako całość, stanowią pancerny, który zasłania nieco naszą część świata od wschodu. Nixon w czasie swej podróży po Europie będzie się starał temu stanowi rzeczy zaradzić. Oby to mu się udało.

Dziwnym musi się wydawać, że w czasach kiedy imperia zachodnie są dobrowolnie likwidowane, a samo słowo „imperializm“ stało się niemal obelgą, imperium sowieckie nie jest w ogóle kwestionowane, a Rosja „jedna i niepodzielna“ uważana za niezbędną (?) dla zapewnienia stabilizacji na świecie. Ubolewa się tylko, że znalazła się w złych rękach. Dlatego głosy rozpaczycy dochodzące od narodów niszczonej systematycznie pod jarzmem rosyjskim nie znajdują posłuchu. Przyczynia się do tego również i to, że nacjonalisci rosyjscy, tzw. „biali“, rozproszeni po świecie, kurczowo trzymają się idei „wielkiej Rosji“, ba, nawet radują się z oicha, z sowieckich zdo-

KRYSTYN OSTROWSKI

# ROZWARTÉ

byczy mimo, że komunistów jakoby nienawidzą.

Dezinformacja działa więc na całego różnymi kanałami i z różnych źródeł. Sowiety infiltrują ją przez agentów, i jeszcze skuteczniej, przez zbałamucitych, naiwnych idealistów, którym łatwo wszystko wmówić i do krzykliwych wystąpień podjudzić.

Tzw. sowietolodzy zawodzą. Okazuje się, że zrozumienie Rosji i Sowietów, tak jak dawniej caratu, jest bodajże organicznie niemożliwe dla umysłowości zachodniej. Trzeba dobrze znać swoją historię, która ukształtowała ten dziwny naród, żyjący na zetknięciu się dwóch światów, Europy i Środkowej Azji, a zarazem kultury zachodniej — łacińskiej i wschodniej — prawosławnej. Twórcy państwowy o etyce odmienną od naszej i żądny władania innymi, dla samego władania, o imperializmie prymitywnym, wzorowanym na mongolskich zdobywcach. Dzisiejsza sowiecka Rosja tkwi wciąż w zniekształconych pojęciach ubiegłego stulecia, mimo że operuje techniką nowoczesną. Współczesnej demokracji w ogóle nie rozumie. Rozumie tylko siłę, i to skoncentrowaną w jednych krwawych rękach. Car, Stalin, Breżniew.

My, Polacy, którzyśmy mieli smutną możliwość z tym wszystkim namacalnie się zapoznać, staraliśmy się tłumaczyć i ostrzegać. Przekonaaliśmy się, że to do niczego nie prowadzi. Przestaliśmy. Wzięliśmy wodę w usta. Wolimy nie narażać się nadaremnie na zarzuty, że jesteśmy uprzedzeni i ziejemy nienawiścią. Nie dawano nam wiary, podobnie jak nie wierzono gdyśmy wołali, że Niemcy mordują miliony Żydów. Wtedy też mówiono, że to niemożliwe. Że to nasza propaganda... Okupacja Czech i Słowacji uprzytomniła prawdziwy stan rzeczy. Czy jednak zgniecenie powstania węgierskiego nie powinno było wystarczyć? Chwała Bogu, że oczy się otwierają i że świat się przestraszył. Wygląda na to, że tym razem same Sowiety postarają się by to nie poszło w niepamięć...

Flota rosyjska grasuje po morzu Śródziemnym, nie jest wprawdzie jeszcze tak silna, jak tam stale przebywająca 6-ta flota amerykańska, ani jak połączone floty NATO. Trudno jednak mieć nadzieję, by w miarę jak będzie uzyskiwała dalsze bazy, nie wzmocniła się do tego stopnia, by panować całkowicie, przynajmniej nad wschodnią jej częścią. Wiemy bowiem, że cała siła

morska Sowietów jest rozbudowywana, i zbrojona do niezwykłych w dziejach rozmiarów. Zbrojenia te mają charakter wyraźnie zaczepny. Są to fakty powszechnie znane.

Pomija się natomiast milczeniem to, co się analogicznie dzieje na północy. Na morzu Północnym, u wybrzeży W. Brytanii, aż po Amerykę i Kanadę, pojawiają się ustawicznie okręty i łodzie sowieckie. Wiadomo, że ich statki handlowe i ich, najliczniejsze w świecie, kutry rybackie spełniają przygotowawcze funkcje wywiadowcze..

W ten sposób Europa, od południa i od północy, została na morzach prawie otoczona. Jest wzięta w kleszcze. Na razie są one rozwarte. W samym sercu Europy, terytorium Czech stało się znowu bazą wojskową Sowietów. Jest to nóż skierowany w pierś Zachodu.

Wszystko to na rozum zachodni stanowiliby dowód, że kryje się za tym konkretny plan. Że jest to preludium do niechybnej rozgrywki. I znowu specje od Sowietów głowią się o co chodzi? Co Rosja chce teraz osiągnąć? Jakie stawia sobie cele i gdzie jest ich kres?

Jest to typowo zachodnie podejście. Ludzie współcześni nie mogą sobie wyobrazić, by jakieś państwo, w dzisiejszych czasach szczerego dążenia do pokoju i dobrobytu, mogło działać wbrew oczywistemu interesowi swych obywateli, nie bacząc na ich cierpienia i ruinę kultury i żeby mogło uważać za cel naczelny narzucanie swego panowania innym. W głowach nie może się pomieścić, by nie było kresu aspiracjom i jakiejś granicy pożądaniami.

Na wschodzie, a właściwie w głębi Azji myślą inaczej. Sowiety odziedziczyły stamtąd inne pojęcia. Chcą one, tak jak ich poprzednicy — wszystkiego. Dosłownie.

Na „Wszystko“ może być tylko jedna odpowiedź: Nic. Każda inna prowadziłaby do zguby.

Gdy się chce panować nad wszystkim — kolejność zdobyczy przestaje być istotną. Byle coraz dalej i coraz więcej. Oczywiście, najpierw tam, gdzie opór jest najmniejszy. Dalekosiężne plany wielkiej strategii nie są wtedy konieczne. Wystarczą taktyczne plany wykonawcze dla poszczególnych akcji. Metoda rosyjsko-sowiecka polega więc po prostu na tym, że łapie się co z brzegu, co w danej koniunkturze najłatwiej, co słabe, co zahipnotyzowane. Przede wszystkim korzysta się z błędów przeciwnika — ofiary. Jest ich

# KLESZCZE

zwykle dosyć. A jeżeli opór okaże się większy, to najlepiej spasować i wszystkiego się wyprzeć. Gdy więc nic więcej w łapy nie lezie, uspakajają się, stają się układni w stosunku do „imperialistów“ i zaraz lansują jakieś łogodzące koncepcje, które o ich dobrej woli miałyby świadczyć. Gdy jednak poprzednie zdobycze zostały przetrawione i czują się gotowe do nowych, aranżują jakiś spektakularny wyczyn, niekoniecznie ściśle wycelowany — raczej jak „kij w mrowisko“. Wywołuje to przerażenie i różne odruchy samoobrony, zwykle nieprzygotowane i chaotyczne. Zdezorientowany Zachód znowu stara się zrozumieć o co chodzi, i pociesza się, że to będzie już ostatni wybryk, jeżeli się apetyt bestii zaspokoi, i że po tym nastąpi cisza. Tak, tylko że będzie to cisza przed nową burzą.

Takim kijem w mrowisko był najazd Czechosłowacji, jakkolwiek chodziło równocześnie o utrzymanie w ryzach komunistycznego „Commonwealthu“ i jego ortodoksyjnej spistości ustrojowej (doktryna Breżniewa). Takim jest obecność ich floty na morzu Śródziemnym. Jeżeliby się miało okazać, że odporność potencjalnych ofiar jest tym razem większa niż antycypowali, to do czasu zadowoła się dalszymi bazami morskimi w Północnej Afryce, a zwłaszcza, nieopatrznie przez Francję opuszczoną niedawno potężną bazą w algierskim El Kebir. Analogicznie — na Oceanie Indyjskim. Wszystko to przyda się na następny etap i cios.

Dlatego nie wydaje się, by Sowiety zabierały się już naprawdę do rozwiązywania na własną modłę sprawy niemieckiej. Opór byłby zbyt wielki i prowadziłby do bezpośredniego zderzenia ze Stanami Zjednoczonymi. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Nie wydaje się nawet, by się teraz pokusili o Berlin Zachodni. Wskazywałoby to zbyt wyraźnie kierunek ich dalszych zamierzeń. Jest tyle innych osiągnięć możliwych, a łatwiejszych, po których będzie łatwiej z Niemcami się uporać.

Izrael mądrze robi, że się stawia uparcie, a nawet dramatycznie potrząsa bombą atomową i gwałtownie reagując na każdą zaczepkę. Pokazuje przez to jak twardym byłby orzechem do zgryzienia. Zresztą Ameryka za nim stoi. Natomiast Arabowie nawaliliby jak poprzednio.

Jaką w tych sprawach grę prowadzi de Gaulle, trudno zrozumieć, a jeszcze

trudniej z niej się cieszyć. Zdaje się, że korzysta z tego, iż siły Ameryki i Sowietów balansują się na Bliskim Wschodzie i stara się uzyskać, kosztem Izraela, patronat nad światem arabskim. Robi to swoim zwyczajem, pod włos francuskiej opinii publicznej.

Rosja, jak za carów, czyha na Bosfor i Dardanele, nie zaś na Izrael — dla Arabów. Wymagałoby to walnego zwycięstwa nad bitną i przygotowaną Turcją. Zahaczałoby nie tylko o Amerykę, ale i o Bałkany i o Azję — nie tylko Mniejszą, ale i Większą.

\* \* \*

Jeżeli wszakże zgodzimy się z tymi, którzy dopatrują się w tych kleszczach rozwartych na morzach i na lądzie, przygotowań do wielkiej ofensywy, która by miała się stać ostateczną rozprawą, to w takim razie na pierwszy ogień musiałaby pójść Albania, jako wstęp do opanowania Jugosławii. Stratedzy twierdzą, że pochodzą na Zachodnią Europę wymagałaby zabezpieczenia flanki od tej strony. Jugosławia zapowiada, że będzie się broniła do upadłego, i na pewno tak by było. Musiałaby więc być zdobywana systematycznie i ostrożnie. Od północy i od wschodu ma ona dostępną granicę z satelitami. W Grecji rządzi reżym skrajnie antykomunistyczny, który wobec swego charakteru wojskowego, madaje się do mobilizowania przeciwko opinii światowej co agencje sowieckie skwapliwie czynią. Dla okrążenia jednak Jugosławii kluczową jest Albania, zbuntowana, ale rządzona przez komunistów, chociaż innego obrządku. Posiada ona ważne bazy morskie zbudowane dawniej przez Sowiety.

Pozornie wiele by wskazywało że mogłoby to być następnym krokiem Sowietów. Być może, ale pociągałoby za sobą poważne konsekwencje. Albania jest forpoczta Chin Mao Tse Tung w Europie. Ich macaką wysuniętą daleko na Zachód. Czy Chiny łatwo by się pogodziły ze stratą swego przyczółka, którego, ze względu na odległość, nie mogłyby bronić konwencjonalnie — trudno przewidzieć. Sam fakt „Chiny w Europie“ musi mieć dla nich kolosalne znaczenie prestiżowe. Toteż odebranie im tego kraju miałoby dla Rosji daleko idące i niebezpieczne powiązania i reperkusje w Azji.

Jeżeli tak, to dlaczego mając tyle przygotowań zrobionych przeciwko

Europie, Sowiety ociągają się z rozpoczęciem akcji a być może w ogóle teraz z niej zrezygnują, zadowolając się pomniejszych osiągnięciami? Zachód mógłby przez ten czas otrząsnąć się z marazmu i skonsolidować obronę. Dlaczego szczypcy się nie zwierają?

Odpowiedź jest prosta: Dlatego, że od tyłu trzymają Rosję za poly Chiny. I nie tylko Chiny. Wiele na to wskazuje, że tam na Dalekim Wschodzie znajduje się klucz przyszłości imperium sowieckiego. Japonia aktywizuje się politycznie i wojskowo na tamtejszym terenie i zgłasza swoje pretensje. Słyszycy się coraz więcej o zbliżającej się „normalizacji“ stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Wolne Chiny Czang Kaj-Szeka są istotnym i znacznie poważniejszym niż się powszechnie uważa, czynnikiem równoległym. Jak się to wszystko wzajemnie i wobec Rosji będzie ustawiać, za wczesnie, by móc przewidzieć.

Daleki Wschód jest sąsiadem naszego sąsiada. Jest więc potencjalnie, Polski naturalnym sprzymierzeńcem. Powinniśmy stale o tym pamiętać przy ocenie sytuacji w Europie i naszego położenia.

O Chinach kontynentalnych wie się niewiele. Są one zamknięte i niedostępne, do tego stopnia, że nawet fakty są mało znane. Informacje stamtąd są fragmentaryczne i często sprzeczne. Dezinformacja jest jeszcze większa niż w stosunku do Sowietów.

Potencjał wojskowy na tle specyficznych warunków terenowych jest niewymierny. Tylko nastroje antyrosyjskie są niewątpliwe. Lepiej na pewno orientują się Rosjanie i to mogłoby tłumaczyć ich rezerwę na innych frontach.

W tej chwili, kleszcze obejmujące Europę, są wciąż jeszcze rozwarłe. Czy jednak nie zacisną się wkrótce? Tego nikt nie wie.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

HENRYK GRYNBERG

## ZWYCIĘSTWO

Powieść o losie Żydów w Polsce  
w czasie okupacji i w pierwszym  
okresie powojennym.

Cena: 15sh; 9.00 F.; 2.25 dol.

Księgarnia SPK,

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W.7.

# PRASA ZAGRANICZNA

Podniętą do napisania niniejszego artykułu stała się wiadomość o śmierci Normana Ebbutt'a, przed drugą wojną światową korespondenta w Berlinie londyńskiego „Times“, zamieszczona w numerze 54/1201 „Orła Białego“ (styczeń 1969).

Będąc od końca roku 1931 do mniej więcej połowy 1934 korespondentem Kuriera Poznańskiego i Gazety Warszawskiej w Berlinie, stykałem się z nim nieraz, zawsze w sposób bardzo sympatyczny, jak zresztą z wielu członkami Związku Prasy Zagranicznej („Verein der Ausländischen Presse“) przebywającymi w tym mieście.

I może warto w tym związku skreślić, na podstawie zapisków wówczas robionych, o rozmowach, zdarzeniach i ludziach, które się cudem zachowały, zarys problemów, przed którymi staje każdy zagraniczny korespondent i to zwłaszcza w kraju, w którym rządy sprawowane są w formie skrajnej dyktatury, jak właśnie w ówczesnych Niemczech. Pierwszą bowiem wolnością, którą niszczy każda prawdziwa dyktatura, jest zawsze i wszędzie wolność prasy, najczulszy barometr ustroju, jaki sobie można wyobrazić. Póki w jakimś kraju mogą istnieć pisma rozmaitych prądów politycznych, póki istnieje możliwość krytycznej oceny polityki rządowej i wyrażania odmiennego zdania, chociażby nawet w poszczególnych wypadkach w razie zbyt ostrych sformułowań następowały kontrakcje rządu w postaci konfiskat, nie mamy jeszcze do czynienia z prawdziwą dyktaturą, a raczej z rządami mniej lub więcej autorytatywnymi. Mogą się one oczywiście posuwać czasem zbyt daleko, ale jednak w zasadzie uznają, że można być innego zdania i je wyrazić.

Dopiero, gdy rząd już nie potrzebuje niczego konfiskować, gdy nie istnieją żadne organy, w których może pisać ktoś krytycznie odnoszący się do rządu, wtedy można mówić o prawdziwej dyktaturze.

Taka właśnie prawdziwa i nieograniczona dyktatura istniała w Niemczech za czasów Hitlera. Nie było żadnego organu prasowego, który by mógł sobie pozwolić na własne zdanie albo umieścić artykuł niezależnego publicysty. Kto inaczej myślał, niż przypisywała partia, nie miał gdzie pisać. Socjalistyczny „Vor-

wärts“ drukowano np. w Pradze w miniaturowym wydaniu i dostarczano go do Niemiec tajnie i oczywiście w ograniczonej ilości. Leży przede mną taki egzemplarz, który czytać można tylko przez szkło powiększające. Otrzymywałem go zapewne dzięki dawnej znajomości z redaktorem naczelnym „Vorwärts'u“, Stampferem, który uszedł do Pragi. Tajnie również drukowano i rozdawano ulotki opozycyjne podczas wyborów, które w istocie były farsą.

O ile jednak prasa niemiecka została „zglajchsztaltowana“ zupełnie, o tyle z prasą zagraniczną sprawa nie była tak prosta, i to również z przedstawicielami tej prasy w Berlinie. Pisali oni do organów, na które partia narodowo-socjalistyczna nie miała — i mieć nie mogła — żadnego wpływu. Toteż zatargów było dużo, a stosunki między rządem i Związkiem Prasy Zagranicznej były na ogół złe, chociaż starano się je oczywiście jakoś utrzymać.

Jednym z ciekawszych „dokumentów“ w tym kierunku jest list datowany 5 września 1933 berlińskiego korespondenta „Chicago Daily News“, Edgara Ansela Mowrer'a, odczytany na zebraniu Związku Prasy Zagranicznej tego samego dnia. Kopię tego listu otrzymałem wtedy z berlińskiego biura „Chicago Daily News“. Wyjaśnia on w nim powody swego nie przybycia na zebranie i wyjazdu z Berlina i wylicza szykany, z którymi spotykał się zarówno on, jak też liczni inni wymienieni po nazwisku koledzy. Nie sposób oczywiście przytaczać na tym miejscu nawet w skrócie treści tego obszernego listu, ale warto chyba przytoczyć koniec, obrazujący sytuację w czterech następujących punktach:

„1) Rząd niemiecki prześladowuje zagranicznych korespondentów nie dlatego, że ich sprawozdania są nieprawdziwe, ale dlatego, że prawdy, które donoszą, mogłyby szkodzić rzeczywistym albo domniemanym interesom Niemiec za granicą.

2) W przeciwstawieniu do tego starają się korespondencją zagraniczną w miarę możliwości znaleźć i do-

nosić prawdę, każdy według swojej zdolności, swojego przekonania i oczywiście niezależnie od konsekwencji politycznych, które mieć ona może dla Niemiec. Rząd nie chce zrozumieć, że dziennikarze pomimo ich miłości do Niemiec nie mogą, póki są wierni swojemu zawodowi, przekreślać albo ukrywać przez wzgląd na rząd niemiecki ważnych wydarzeń.

3) Pomijając to ograniczenie starają się oni utrzymywać możliwie najlepsze stosunki z rządem niemieckim, pracować z nim razem, wyjaśniać i tłumaczyć jego działania w sposób jak najbardziej uczciwy.

4) Gdyby jednak stało się dla zagranicznych korespondentów niemożliwe mówić w tym kraju to, co mają do powiedzenia, byłoby zapewne rzeczą właściwą zapakować kufry i wyjechać. Spodziewam się i pragnę, ażeby Związek mógł nadal spełniać swoje zadanie. Ale tysiąc razy lepiej go rozwiązać, niż pozwolić na powstanie w przeciwnym razie uzasadnionego podejrzenia, że Związek Prasy Zagranicznej w Berlinie został zglajchsztaltowany“.

Równocześnie ze złożeniem prezesury Związku przez Mowrera i jego wyjazdem odbyło się walne zebranie Związku, na którym odczytano jego list i przeprowadzono wybory nowego prezesa oraz członka ściślejszego zarządu, tzw. kontrolera. Wynik wyborów był niezmiernie charakterystyczny dla panujących w Związku nastrojów. Były dwie kandydatury na prezesa: korespondenta Times'a Normana Ebbutt'a, niechętnie widzianego przez rząd hitlerowski, oraz bardzo mile widzianego wówczas przez ten rząd korespondenta faszystowskiego dziennika „Popolo d'Italia“, Bojano. Otóż wybrany został Ebbutt a przeciwstawiony mu Bojano — przytaczam mój ówczesny zapisek — „przepadł sromotnie, otrzymawszy 2 czy też 3 głosy“! Co więcej, gdy na opróżnione właśnie w ścisłym zarządzie stanowisko „kontrolera“ postawiono z grzeczności raz jeszcze kandydaturę Bojana, jeden z członków Zarządu wysunął moją kandydaturę — która prze-



# W KRAJU DYKTATURY

szła a Bojano przepadł ponownie. Dostał się wreszcie na miejsce jednego z ławników.

„To była druga porażka Bojana — czytam w moich ówczesnych zapiskach — jako kandydata milego rządowi“.

Zastanawialiśmy się po zebraniu, jaki skutek wywrze wynik tych wyborów na stosunek Związku z urzędowymi sferami niemieckimi. Odpowiedź zjawiała się dość szybko i niespodziewanie i dowiodła, że rząd niemiecki jednak zawahał się przed ostatecznym rozłamem. A mianowicie minister spraw zagranicznych baron von Neurath urządził dnia 15 września, a więc 10 dni po wspomnianych powyżej wyborach, w hotelu „Kaiserhof“ tak zwany „Bierabend“, na który otrzymali zaproszenia przedstawiciele prasy zagranicznej. Gdy już wszyscy byli zebrani, podszedł do mnie radca legacyjny z M. S. Zagr. von S. prosząc żebym usiadł przy stole rządowym. Na moją trochę zdziwioną reakcję dodał, że przy stole tym zasiądzie również nowy prezes Związku Prasy Zagranicznej Norman Ebbutt.

Zrozumiałem, że oznacza to próbę ułożenia — mimo poniesionej właśnie porażki — stosunków z nowym zarządem Związku Prasy Zagranicznej. Przy stole tym znalazło się zresztą tylko kilkanaście osób, a między nimi minister von Neurath, minister propagandy Goebbels, sekretarz stanu w M. S. Z., baron von Bülow, szef Działu Zagranicznego partii hitlerowskiej Alfred Rosenberg, dyrektor Wydziału Prasowego w M. S. Z. Aschmann, szef urzędu prasowego w Min. Propagandy Jahnke, ambasador Nadolny i z ambasady włoskiej markiz Antinori.

Otrzymałem miejsce dość niezwykle, bo po mojej lewej ręce siedział sekretarz stanu von Bülow, a po prawej osławiony Alfred Rosenberg. Wtajemniczeni wiedzieli, że obaj się wzajemnie nienawidzili, bo Bülow uważał Rosenberga — słusznie zresztą — za człowieka szkodliwego i nie dorastającego do zajmowania się zagadnieniami polityki zagranicznej, a Rosenberg bardzo pragnął stanąć

na czele M. S. Zagr. W rozmowie zadałem Rosenbergowi kilka dość śmiałych pytań, a między innymi to, czy oni sami wierzą w swoje teorie rasowe, czy też raczej wywieszają je jako sztandar na zewnątrz dla podniecenia i pozyskania prymitywnych mas.

Słyszając to pytanie, von Bülow przerwał rozmowę ze swoim lewym sąsiadem i przechylił się w moją stronę, czekając na odpowiedź Rosenberga. A ten odrzekł: Wierzymy jak najbardziej. Czy Pan myśli, że szerokie masy narodu nie wyczułyby wkrótce nieszczęścia?

Jeżeli jeszcze miałem jakieś resztki wątpliwości co do istoty rasowego fanatyzmu hitlerowców, to rozmowa ta ostatecznie je rozwiała. Pomijam na tym miejscu dalsze aspekty tej rozmowy, dodam tylko, że na moje stwierdzenie, że nie istnieje naród rasowo jednolity i że np. Polacy mają tyleż krwi nordyckiej, co Niemcy, Rosenberg oświadczył: „Wiemy o tym“!!! Przysłuchujący się tej rozmowie von Bülow spojrzął na mnie, ale nic nie powiedział. Natomiast siedzący przy dalszych stołach i przyglądający się wszystkiemu uważnie korespondenci pism sowieckich zasympali mnie po wstaniu od stołów pytaniami, od których się z trudem uwolniłem.

Wróćmy jednak do tematu ściślej związanej z Ebbuttem. Otóż nie tylko on, ale chyba wszyscy korespondenci angielscy, z którymi się widywałem, odnosili się do hitleryzmu krytycznie. Na ogół jednak przypuszczano, że prąd ten nie może trwać i że się sam załamie. Gdy kiedyś wyjeżdżałem na wakacje, jeden z francuskich korespondentów powiedział mi, że gdy się znowu zjawię w Berlinie, już będzie po wszystkim. Tak samo zresztą myślało w Niemczech wielu ludzi, i to zwłaszcza w kołach konserwatywnych. Na przyjęciu, wydanym w gmachu ambasady sowieckiej w dniu 10 maja 1933 przez sekretarza tejże ambasady Winogradowa, opowiadał mi świeżo przybyły do Berlina korespondent „Prawdy“ Czerniak, że wymieniony już powyżej radca legacyjny von S.,

odmawiając wydania mu zaproszenia na pierwszy kongres hitlerowskiej organizacji pracy „Arbeitsfront“, na którym przemawiał Hitler, pocieszył go oświadczeniem, że za trzy miesiące „narodowa rewolucja“ się skończy i wtedy będzie mógł również dostawać zaproszenia.

Było to dość rozpowszechnione mniemanie zarówno w niektórych kołach konserwatywnych w Niemczech, jak też zwłaszcza zagranicą. Spotkałem się z takimi zdaniem między innymi na przyjęciu u Ebbutt'a, na którym byli nie tylko Anglicy, ale również Francuzi, Amerykanie itd. Mniemanie to — którego nie dzieliłem — było o tyle bardzo niebezpieczne, że nikt nie wyciągał potrzebnych wniosków na wypadek ostatecznego umocnienia się Hitlera u władzy. Wolano czekać, aż sam upadnie.

Nowy prezes Związku Prasy Zagranicznej Norman Ebbutt oraz Zarząd Związku postanowił w odpowiedzi na pojednawczy gest rządu, oraz dążąc do uniknięcia zupełnego zerwania, urządzić ze swej strony śniadanie dla Goebbelsa. Odbyło się ono dnia 26 października 1933 w sali znanego hotelu Adlon. Przemawiał na nim w imieniu Związku nowy prezes Ebbutt, wskazując na trudności jakie ma prasa zagraniczna w Berlinie i stwierdzając, że rząd niemiecki musi zrozumieć, że dziennikarz zagraniczny pracować może tylko dla własnego kraju. Goebbels odpowiedział, że to rozumie. Gdy w pewnej chwili żartobliwie powiedział, że rząd nie ma opozycji we własnym kraju, więc się wobec tego cieszy, że może walczyć z opozycją prasy zagranicznej, przerwałem mu mówiąc, że opozycja w kraju została obalona, ale opozycji prasy zagranicznej nie można obalać“ (zdania w cudzysłowach przepisane dosłownie z zapisku z dnia 6 listopada 1933).

Nastąpiła chwila ciszy. Goebbels podjął te słowa, oświadczając, że rząd niemiecki nie ma zamiaru tego czynić i że pozostawia rządowi poszczególnych krajów zarządzenia przeciwko dziennikarzom.

No, jak wynika chociażby z przytoczonego listu Edgara E. Mowrer'a, rząd niemiecki nie ograniczał się do „pozostawienia rządowi poszczególnych krajów zarządzeń przeciwko dziennikarzom“. Toteż po moim — wykra-

(Dokończenie na str. 16)

czającym poza wszelkie zwyczaje dyplomatyczne — wystąpieniu zwróciłem się do siedzącego obok mnie szefa wydziału prasowego ministerstwa Jahnke'go wyrażając przypuszczenie, że z kolei i ja również zostanę zmuszony do opuszczenia Berlina. Jahnke zawahał się i po chwili poprosił o leżącą przede mną kartę „menu“. Podaliśmy mu ją, nie wiedząc o co chodzi, a on (siedzieliśmy: Ebbutt wprost, a ja i Jahnke prawie naprzeciwko Goebbelsa) przechylił się przez stół i podając Goebbelsowi kartę „menu“ powiedział: Pan Drobnik pragnie zebrać podpisy uczestników przyjęcia. Czyby pan minister nie zechciał podpisać?

Goebbels zawahał się — ale po chwili wziął podsunęty mu ołówek, podpisał i oddał kartę Jahnke'mu, który składając również swój podpis, oddał mi ją mówiąc: „Nie zostanie Pan wydany“. A po chwili dodał: „Ministrowi widocznie zależy na tym, żeby naprawiony zaledwie stosunek z prasą zagraniczną nie został od razu zklócony“.

Po śniadaniu, gdy wszyscy wstaliśmy od stołu, podszedł do mnie Ebbutt i ściskając mnie mocno za rękę, gorąco dziękował. „Ja nie mogłem — powiedział — jako zapraszający prezes Związku, tego powiedzieć, ale że Pan, należąc do Zarządu, to uczynił, to bardzo dobrze. Jestem Panu bardzo wdzięczny — i nie ja jeden.“

W połowie roku 1934 opuściłem Berlin i nie znam już dalszej historii stosunków Związku Prasy Zagranicznej z rządem niemieckim. Ale przypuszczam, że nadal nie były dobre.

A gdy dzisiaj, po wielu latach, pojawia się przed moimi oczyma obraz tych czasów, wspominam chętnie niezmiernie miłe, przyjazne i pełne wzajemnego zaufania stosunki, jakie mnie łączyły z poselstwem, a później z ambasadą polską w Berlinie. Fakt, że byłem przedstawicielem pism zdecydowanie opozycyjnych („Kurier Poznański“ oraz „Gazeta Warszawska“), stosunków tych nie zakłócał w najmniejszej mierze.

Jerzy Drobnik

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORŁA BIAŁEGO“

FELIKS CHRZANOWSKI

## Zapowiedź samorządu

LICZBA departamentów metropolii francuskiej wynosi 90, liczba regionów 21, ale ekonomiści oddawna dzielą Francję tylko na dwie strefy: wschodnią i zachodnią. Podczas, gdy strefę wschodnią cechuje wysoki stopień uprzemysłowienia i gęste zaludnienie — w strefie zachodniej, przeważnie rolniczej, daje się zauważyć słabe tętno życia gospodarczego. Przyjęta powszechnie linia podziału Francji na te dwie strefy biegnie od Hawru na północy do Marsylii na południu. Oczywiście, po obu stronach tej linii są departamenty nietypowe dla ogólnego charakteru ekonomicznego strefy, w której są położone, ale nie zmienia to jej oblicza. W strefie wschodniej znajduje się np. górski departament Basses Alpes, gdzie gęstość zaludnienia wynosi zaledwie 12 osób na km<sup>2</sup>. Jest to najniższy stopień w całej Francji. W strefie zachodniej departamenty Gironde z Bordeaux i Haute Garonne z Tuluzą wyróżniają się dość dużym wkładem do ogólnego dochodu narodowego. Globalnie jednak strefa wschodnia ma pod względem zagospodarowania i uprzemysłowienia ogromną przewagę nad zachodnią. Zajmując nieco ponad połowę terytorium całego kraju, strefa wschodnia ma 2/3 ludności, zatrudnia 66% robotników i dostarcza 72% całego dochodu narodowego. Podczas gdy wartość wytwórczości rolniczej jest w obu strefach mniej więcej jednakowa — strefa wschodnia produkuje 78% artykułów przemysłowych, podczas gdy zachodnia 22%.

Te rażące dysproporcje istniały od dawna. Wzmogły się jednak po ostatniej wojnie, a zwłaszcza po uruchomieniu Wspólnego Rynku, którego rozwój faworyzuje ośrodki i obszary położone w pobliżu wschodnich granic Francji. Doświadczenie wykazało również, że centralistyczny system planowania gospodarczego, odgrywający we Francji bardzo dużą rolę, nie potrafił osiągnąć większych rezultatów, jeśli chodzi o dekoncentrację przemysłu i zagospodarowania departamentów zachodnich.

W takich warunkach wyłoniła się

koncepcja samorządu regionalnego, jako metody prowadzącej, jeśli nie do usunięcia, to w każdym razie do zmniejszenia istniejących nierówności. Rok temu, otwierając międzynarodowe targi w Lionie prezydent de Gaulle skrytykował system rządów centralistycznych jako przestarzały i oświadczył, że w obecnych warunkach „jest potrzebna działalność regionalna, która powinna stać się siłą napędową przyszłej potęgi gospodarczej kraju“. Ciężkie zaburzenia majowe oraz długotrwałe strajki, które objęły wówczas cały kraj utrudniły opracowanie planowanych reform, ale równocześnie wskazały na ich pilną potrzebę.

Z inicjatywy rządu odbyła się w połowie grudnia ub.r. trzydniowa debata parlamentarna na temat projektowanego samorządu regionalnego i związanej z tym reformy senatu, a w pierwszych dniach lutego bież. roku de Gaulle podczas pobytu w Quimper oficjalnie zapowiedział, że na wiosnę odbędzie się referendum w sprawie samorządu. Prezydent nie omieszkał podkreślić, że „ze względu na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jest rzeczą słuszną, by wiadomość o referendum była podana Francji właśnie z Bretanii“.

Dlaczego z Bretanii? — Prawdopodobnie dlatego, że Bretania, na której terenie pojawiły się nawet prądy separatystyczne o podłożu odrębności etnicznych, jest ze wszystkich prowincji francuskich najbardziej zaniedbana i zapóźniona w rozwoju. Jej ludność stale emigruje za chlebem nie tylko do Paryża i departamentów wschodnich kraju, ale również do Ameryki. Liczba mieszkańców Bretanii wynosi dziś tyle samo, co przed stu laty, to jest 3 i pół miliona. Miasta są słabo zaludnione, wieś przeludniona, przemysł w fazie embrionalnej. Konsumpcja elektryczności i benzyny jest w porównaniu z innymi prowincjami najniższa, na 100 mieszkańców przypada tylko jedna łazienka i tylko 1/4 domów ma wodę bieżącą. Upada również z powodu braku stoczni tradycyjne zajęcie Bretończyków — rybołówstwo. Bretania, której produk-

# regionalnego we Francji

cja karczochów wynosi 80% całej produkcji europejskiej nie ma żadnego połączenia autostradą z Paryżem, ani ze Wspólnym Rynkiem. To też bretońskim rolnikom i sadownikom czynią stale konkurencję rolnicy holenderscy, którzy przez Belgię i francuską autostradę północną bez trudu docierają ze swymi produktami do Paryża i do całej région parisienne.

Czego domagają się Bretończycy? Czołowi działacze gospodarczy tej prowincji ujeli postulaty swego kraju w czterech punktach:

1) uprzemysłowienie np. przez założenie stalowni zasilanych rudą z Mauretanii,

2) przekształcenie Brestu na największy w Europie port ropy naftowej, do którego mogłyby zawijać olbrzymie tankowce,

3) rozbudowa szkolnictwa wyższego, a wreszcie:

4) połączenie Bretanii autostradą z Paryżem i Europą.

Przed podobnymi problemami stoją inne prowincje nie tylko w strefie zachodniej. W każdej sprawie regionalnej napotykają one na opory ze strony centralnej biurokracji paryskiej, mającej monopol na wszystkie ważniejsze decyzje. W rezultacie producenci owoców i jarzyn narzekają na brak przetwórci i na brak rynków zbytu, zwłaszcza w okresach wielkich urodzajów, hodowcy bydła żalą się na brak rzeźni i fabryk konserw mięsnych, rodzice żądają bezskutecznie nowoczesnych szkół dla dzieci, lekarze nie mogą doczekać się odpowiedniej liczby klinik i szpitali dla swych pacjentów — a wszyscy ubolewają nad zbyt powolnym tempem budowy tanich mieszkań i nad niedostateczną siecią dróg samochodowych.

W takiej sytuacji hasło samorządu regionalnego, dzięki któremu mieszkańcy regionu obejmującego kilka departamentów mogliby sami decydować w wielu swych sprawach społecznych, gospodarczych i kulturalnych, nie oglądając się zbytnio na Paryż — wywołuje żywy i pozytywny oddźwięk na prowincji. Nie zna-

czy to jednak, by plan samorządu regionalnego nawet w niezbyt szerokim zakresie, nie napotykał na sprzeciw. Ujawniła to grudniowa debata parlamentarna, w czasie której z ramienia rządu przemawiali ministrowie Jeanneney i Guichard oraz premier Couve de Murville. Wprawdzie większość mówców poparła rządową koncepcję samorządu regionalnego, ale równocześnie odezwały się głosy w obronie dawnego i obowiązującego do dziś dnia systemu centralistycznego. Zwróciło powszechną uwagę, że jednym z mówców, który stanowczo ostrzegł przed przyznaniem zbyt szerokich kompetencji samorządowym radom regionalnym, był poseł gaullistowski Sanguinetti. W szczególności, wyraził on obawę, że 21 regionów samorządowych przekształci w tyleż republik. Utrzymywał też, że „za sklerozę jaka ogarnęła administrację państwową nie ponosi odpowiedzialności Paryż, ale — jak mówił — prowincja, której przedstawiciele zebrani w Paryżu narzucili całemu krajowi protekcyjizm rolny i przemysłowy“.

W przemówieniach niektórych innych mówców nie brak było akcentów politycznych i tak np. gaullistowski poseł Zimmerman mówił o niebezpieczeństwie grożącym Alzacji i Lotaryngii ze względu na atrakcyjne gospodarczo sąsiedztwo prowincji nadreńskich. Już dziś — mówił Zimmerman — 13 tysięcy robotników francuskich udaje się do pracy do NRF i do Szwajcarii. Komunistyczny

**SZYBKO I TANIO!**  
Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
wykonują  
**ZAKŁADY GRAFICZNE**  
**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. 01-228 0879

poseł Barel z departamentu Alpes Maritimes wystąpił z podejrzanym projektem, by stworzyć rozległy region śródziemnomorski, rozciągający się od granicy włoskiej do Hiszpanii. Korsyka domaga się, by ją wydzielono z regionu obejmującego dwa departamenty Francji kontynentalnej i wskazuje tytułem przykładu na włoską Sardinie, mającą własny parlament regionalny.

Dodajmy w końcu, że według doniesień prasy zagranicznej jednym z najzaciętszych przeciwników regionalizmu ma być premier, a obecnie minister spraw zagranicznych Debré. Jest on podobno szefem grupy zwanej jakobinami, która broni centralizmu, odziedziczonego po Wielkiej Rewolucji i po Napoleonie. O powodzeniu referendum zadecyduje jednak nie przywódca, ale prowincja, która — jak się wydaje — sprzyja reformie i jest gotowa ją poprzeć. Opozycja tak sądzi. Zarzuca ona wprawdzie de Gaulle'owi, że chce wykorzystać referendum dla osobistych celów politycznych i wzmocnienia swego autorytetu, atakuje prezydenta za związanie sprawy samorządu z planem pozbawienia senatu prerogatyw ustawodawczych — ale samej koncepcji samorządu terenowego nie zwalcza.

Feliks Chrzanowski

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE**  
**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**  
Przesyłki Wolne od Cła Paczki „Do Wyboru“



**HASKOBA LTD.**

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7.

Tel. 01-373 7888

# „AL FATAH“

**W** LABIRYNCIE problemów, jakie narosły na Środkowym Wschodzie w związku ze sprawą palestyńską, trudno się wyznaczyć, a jeszcze trudniej z niego wyleźć.

Jest pewne jednak, że — pomijając wszystkie inne aspekty sprawy — na pierwsze miejsce wysuwa się w tej chwili nowy czynnik, a mianowicie „AL FATAH“, Palestyński Ruch Oporu, który coraz bardziej wychodzi na światło dzienne, a jego leader — Jasir Arafat — znany również jako Abu Ammar (ojciec Amera) zaczyna zaćmiwać dotychczasowe bożyszcze arabskie — Gamala Abdel Nassera.

„AL FATAH“ jest skrótem powstałym z pierwszych liter arabskiej nazwy Palestyńskiego Ruchu Oporu: [H] arakat [A] l [T] ahrir [A] l [F] alastin, czytanej oczywiście od prawą do lewą, a w kompozycji bezsamogłoskowej, typowej dla języka arabskiego, FTH oznacza zwycięstwo lub też podbój. Znamienna jest również nazwa jej partyzanckich oddziałów „fedain“. Miano to w początkach Islamu nadawano krzewicielom „walczącym i broniącym wiary“.

„AL FATAH“ i jej fedaini, po zamachu dokonany na samolot izraelski w Atenach, zatrzęsły kancelariami polityczno-dyplomatycznymi całego świata, stając się z dnia na dzień czołowymi „newsmakers“ międzynarodowej prasy, radia i telewizji. Stało się nagle jasne, że inicjatywa w sprawach konfliktu palestyńskiego, dotąd w rękach braci-Arabów, zresztą porządnie z sobą skłóconych, przeszła w ręce rdzennych Palestyńczyków.

Stworzony ongiś pod protektorem Egiptu Front Wyzwolenia Palestyny agonizuje. Burzują palestyńska, po podziale Palestyny, bądź zjordaniizowała się zupełnie, bądź wyemigrowała, bądź też zasymilowała się w innych krajach arabskich, masy zaś uchodźców w obozach w Egipcie, Jordanii, Syrii i Libanie od 20 lat na utrzymaniu instytucji międzynarodowych popadły w marazm i apatię, widząc beznadziejność polityki prowadzonej w ich imieniu przez państwa arabskie.

Pewna jednak grupa dynamicznych i młodych ludzi, wychowana w liberalizmie szkół misji zachodnich w Palestynie, wyemancypowana przez kontakty z cudzoziemcami i Żydami o wysokim poziomie kulturalnym, znająca języki obce z hebrajskim włącznie, stworzyła na uchodźctwie elitę palestyńską, która zajęła wiele naczelnych stanowisk na uniwersytetach arabskich, w przemyśle, handlu, koncernach naftowych Kuwaitu czy wielkich spółek akcyjnych i banków. Z grupy tej wyszedł Jasir Arafat, wychowanek uniwersytetu kairskiego, twórca „AL FATAH“.

Jak wiemy, państwa arabskie od 20 lat szermują sloganami wyzwolenia Palestyny, w gruncie rzeczy nie konkretnego nie robiąc, dynamiczna zaś polityka Izraela ułatwia im tylko wyciąganie korzyści potrzebnych w rozgrywkach wewnętrznych. Palestyńczykom natomiast wmawiało się stale, że tylko i wyłącznie braterskie państwa arabskie są zdolne do rozwiązania tego gordyjskiego węzła.

Ale wejście na arenę arabską Afryki Północnej z momentem wyzwolenia Algieru w 1962 roku otworzyło Palestyńczykom nowe perspektywy. Aktywna grupa młodych pod hasłem „dostyc gadania, trzeba nam czynów“ zwróciła się do Algieru o pomoc. I otrzymała ją. Uwarunkowaną wprawdzie do akcji na terenie Izraela tylko, niemniej z dużymi widokami na przyszłość.

W przeciwieństwie do krzykliwego, lecz pasywnego Frontu Wyzwolenia Palestyny „AL FATAH“ działała najpierw w zupełnym milczeniu organizując swą militarną jednostkę „Al Afifa“ (co znaczy burza lub piorun) z jej zespołami komandosów szkolonymi i uzbrajanymi w Agierze i Syrii.

Działalność swą rozpoczęła już w 1963 roku. Dopiero jednak wojna arabsko-żydowska 1967 roku stała się elementem, który ujawnił jej siłę działania z terytorium Syrii i Jordanii przeciw Izraelowi i stał się przyczyną nowego i to ostrego kryzysu na Środkowym Wschodzie. Państwa

bowiem arabskie zostały jakby wyrzucone z siodła. Dotąd jedyni rzecznicy, posiadający *carte blanche* we wszystkich pertraktacjach i działaniach w sprawie palestyńskiej, z dnia na dzień zostali pozbawieni owego leadership'u, gdy w grę wszedł nowy czynnik, i to nielada czynnik, bo pełnoprawny palestyński *vox populi*. Nowy dylemat powstał również dla państw zachodnich, negocjatorów i arbitrów. Bo nie sposób już dzisiaj pomijać potężniejszego coraz widoczniej narodowego przedstawicielstwa politycznego Palestyny. I tu nasunęło się pytanie. Jakie zamiary ma „Al Fatah“? Bo chociaż oficjalnie deklaruje ona, że nie jest jej intencją zniszczenie Żydów, a jedynie obalenie izraelskiego państwa sjonistycznego i stworzenie nowego, wielorasowego, i laickiego przy akceptacji jednak tylko żydostwa orientального, to pewne, zarysowujące się już dość widocznie, wypadki wskazywałyby, że oświadczenia tego nowego Sfinksa na firmamencie arabskim — Arafata — nie są zupełnie szczerze.

Organizacja „Al Fatah“, choć nie jest jeszcze zbyt mocna, cieszy się olbrzymim prestiżem. Ona jedna, po klęsce 1967 roku, gdy rządy państw arabskich wdały się w niekończące polemiki i dyplomatyczne przetargi, chwyciła za broń, dokonując spektakularnych zamachów w Izraelu. Wzbudziło to podziw całego świata arabskiego i wyniosło Arafata do roli bohatera. Ruch Oporu stał się elementem kapitalnym polityki wewnętrznej każdego z państw arabskich i nieraz trudnym orzechem do zgryzienia. Państwa arabskie nie mogły tego Ruchu nie popierać, lecz go subwencjonując czy udzielając swych terytoriów na operacje wypadowe komandosów, narażają się na nowe ataki ze strony Izraela, do odparcia których nie są przygotowane. Starając się zaś zachować z pewną rezerwą, mają przeciw sobie swe własne elementy wywrotowe, solidaryzujące się w pełni z „Al Fatah“.

W Jordanii „Al Fatah“ jest instrumentem prawdopodobnie silniejszym niż zdziesiątkowany legion króla

# Zdźbło w oku bliźniego

Motto: Stultum facit fortuna quem vult perdere. (Publius Syrus).  
(Głupcem czyni los tego, kogo chce zgubić).

Husseina. W przeważającej części jest ona praktycznie u siebie. Kieruje policją, czuwa nad bezpieczeństwem publicznym, ściągą podatki itp., a co najgorsze — jej fedaini posuwają się coraz częściej do aktów szantażu i król Hussein dokonywać musi istnych akrobacji dyplomatycznych, by móc się utrzymać przy władzy. Nie jest wykluczone, że zamysły Arafa sięgają dalej, niż dywersja przeciw Izraelowi. Na razie jednak nie może posuwać się on daleko z uwagi na wiernych królowi Beduinów. Nie obeszłoby się tam bez rozlewu krwi, co w tym momencie nie jest dla żadnej ze stron pożądane.

W Syrii „Al Fatah“ ma swą kwaterę główną i pełne poparcie czynników rządowych. W Egipcie korzysta z radia, prasy i innych instrumentów informacyjnych, jak również obozów wojskowych.

W Libanie, gdzie oficjalne czynniki zaprzeczają istnienia jej obozów na swym terenie, cieszy się wielką sympatią lewicującej młodzieży i radykalnego odłamu społeczeństwa muzułmańskiego i staje się kością niezgody oraz przyczyną kryzysów rządowych. Wiadomo bowiem, że Liban w połowie chrześcijański, w połowie muzułmański, chciałby utrzymać swój balans konfesjonalny i nie angażować się czynnie w sprawy arabsko-żydowskie. Izraelski napad na samoloty libańskich linii lotniczych był konsekwencją ataku fedainów, pochodzenia libańskiego, na izraelski samolot w Atenach.

Jakkolwiek trudno się dziwić Palestyńczykom i odmawiać im praw niepodległościowych, to jednak trzeba zdać sobie sprawę, że kryzys arabsko-żydowski przybiera na sile coraz bardziej od momentu wsączenia się weń nowego bakcyła. Tym niebezpieczniejszego, że jeszcze nieznanego. Mogącego sprowokować na Środkowym Wschodzie komplikacje na miarę Wietnamu. Bakcyłem tym jest, niestety, „AL FATAH“.

**N**AJPOSPOLITSZYM ofuknięciem bliźniego jest pochopne zarzucenie mu głupoty — wprost, bezpośrednio, brutalnie; lub — wygodniej i bezpieczniej — w formie obmowy, poza plecyma. Gdy się jednak docieka kryteriów sądu, natrafia się na poważne trudności. Definicja głupoty czy głupca nie należy do łatwych. Poważne encyklopedie nie uwzględniają tak błahych zagadnień. Z angielskich jedynie Webster (International Dictionary) obdarza nas nieco lakonicznym pouczeniem: Osoba nie posiadająca ani zdolności osądzania ani roztropności. Nieco inaczej ujmują sprawę Niemcy. Dla nich „Dummheit“ to codzienne określenie nie istniejącej a może tylko niedostatecznej inteligencji albo brak ogólnego uzdolnienia (Allgemeinbegabung). Ich „Dummheit“ nie jest jednak identyczna z umyślowym upośledzeniem lub zniedołężnieniem, dla których mają odrębne nazwy: Schwachsinn, Demenz. „Dummheit“ — jak nam tłumaczą — jest zupełnie niezdolna, zawodzi, gdy następuje konfrontacja z nową sytuacją lub konieczność rozwiązania niespodziewanego zadania.

Język angielski, zwłaszcza szekspirowski, posługując się chętnie wyrażeniem „fool“, rozciąga jego znaczenie również na zawodowego błazna i trefnisią (clown, jester — będzie o nich później mowa). Poza tym używa różnych synonimów jak „idiot“, „imbecile“, „moron“, „simpleton“, „natural“ etc. Te rzekome równoznaczniki nie oddają istoty właściwego zaburzenia, gdyż niektóre z nich wskazują na umyślowy niedostatek, który nie jest obowiązkowym przymiotem klasycznej głupoty. Niemiecki słownik ma w zapasie: Dummkopf, Narr, Tölpel, Rüpel, a polski wprost przeraża mnogością materiału. Dla Karłowicza „głupi“ to człowiek „nie mający rozumu“, „nierozumny“, „niemądry“, „nierozsądny“, „nierozgarnięty“, „ograniczony“, „bezsensowny“, „kłopotliwy“, „ambarasowny“ itd. Od „głupca“ można też wyprowadzić szereg mniej lub więcej czułych wariantów: Głupas, głuptas, głuptaś, głupek etc.

Jako synonimy mogą służyć: Cymbał, półgłówek, dureń, kiep, idiota, kretyn, symplak i inne. Z wielką krzywdą dla zwierząt uprawiamy zoomorfinizm, identyfikując głupca z baranem, mułem, osłem, cielęciami i gęsią.

Równolegle z mnogością wyzwisk idzie dowolność w przyznawaniu komuś godności głupca. W tym samym wypadku różni różnie dowodzą swej racji. Każdy na usprawiedliwienie swego sądu ma odmienne powody, każdy kieruje się własnymi wytycznymi.

W czym leży sedno głupoty? Niewątpliwie w charakterze tzn. w wadliwym mechanizmie kształtowania się tego. Psychoanalityk nie zawaha się umieścić głupoty w dużym kotle neuroz. Głupiec zмага się z jakimś szczególnie zachowaniem się, najwłaściwiej określane jako „zgrywanie się“ (acting out). Pośpieszny lub okolicznościowy obserwator zwróci uwagę jedynie na niedorzeczność lub paradoksalność postępowania.

Jeśli ktoś czyni to zawodowo, bawi nas do pewnego stopnia. Niektórym błaznom cyrkowym przyznano rangę najwyższych artystów (Grock). W dawnych czasach, zwłaszcza w erze renesansu, błazen sprawował ważny urząd na dworze. Cieszył się przywilejami, wolnością słowa i wybaczano mu lekceważenie protokołu. Niektórzy z nich doszli do wielkiego znaczenia a nawet majątku. Atraktywność i cena błazna rosła, jeśli posiadał dodatkową wadę fizyczną (Verdi: Rigoletto), zwłaszcza karłowatość. Dobrą pamięć pozostawił po sobie jagielloński Stańczyk (obraz Matejki; ważna postać w „Weselu“ Wyspiańskiego). Również późniejszy Józef Borusławski, karzeł i coś w rodzaju angielskiego entertainera, zyskał sławę i uznanie, przekraczające granice ojczyzny.

Kto zmuszony jest utrzymywać stosunki z pierwotnym głupcem, niech to będą rodzinne, towarzyskie lub służbowe, skazany jest na istne tortury. Głupota nastęrcza poważniejsze problemy aniżeli złośliwość. Przeciwno tej ostatniej można pro-

(Ciąg dalszy na str. 20)

testować, zdemaskować ją, przeciwdziałać jej. Złośliwość, zresztą, podobnie jak skorpion, ginie nierzadko od własnej broni. Złośliwy osobnik nie czuje się pewny, nie wie dokładnie do jakiej granicy wolno mu się posunąć, czuje się zagrożony możliwością odwetu, co powoduje chwiejność jego ataku, a ułatwia rewanz. W braku lepszego przedmiotu kieruje jad we własną stronę. Natomiast trudno znaleźć sprzymierzeńców lub właściwe środki obrony w walce z głupotą. „Mit der Dummheit kämpfen Götter selbst vergebens“ rozpacza Schiller w „Piccolomini“, co w poprawnym tłumaczeniu znaczy, że w przymierzu z głupotą nawet bogowie są bezsilni. Ani intelekt ani siła fizyczna nie będą pomocne, by ją zneutralizować. Głupota pozostaje niedostępna wszelkiej argumentacji.

W porównaniu z szelmą lub pospolitym łobuzem głupiec uderza brakiem krytycyzmu, zadowoleniem a nawet dumą z własnej osoby. Ale jego pogodny nastrój ulega nieoczekiwanym kaprysom. Nie ma on zmysłu humoru, wpada łatwo w gniew i przemienia się w agresywnego, wręcz niebezpiecznego przeciwnika. Nie należy sprzeczać się z nim. Jego reakcje są nagłe i nieprzewidywane. Na ogół biorąc, głupota imponuje więcej jako moralny niż intelektualny defekt. Nawet osobnicy obdarzeni wielkim i największym intelektem mogą cierpieć na utajoną głupotę. Brak im, u prostych ludzi nieraz tak cudownie rozwiniętej, mądrości życiowej. Zawodzą katastrofalnie w pewnych sytuacjach, w innych zdradzają niezręczność lub karygodny brak zainteresowania. Te wady nie są *sensu stritiori* głupotą, ale nie odbiegają daleko od niej.

Historia i tajne archiwa znają niejednego jaskrawego przykład. Z tym smutnym stanem rzeczy trzeba się pogodzić, mimo, że cień pada na najpiękniejsze legendy, a współcześni z oburzeniem protestowaliby przeciw podobnym insynuacjom. Genialny Newton, niedościgniony matematyk, hołdował najidiotyczniejszym zabobonom. Wilhelm II, mimo wszystkie pozory, był głupcem. Nie dlatego, że przegrał niepotrzebną wojnę ale dlatego, że usunął Bismarcka, aby otoczyć się pochlebami i nie być narażony na sprzeciw. To samo

można powiedzieć o Hitlerze, który wszystkie decyzje podejmował bez zgody lub wbrew radom fachowców. Politycznym głupcem był nawet sam wielki Napoleon, nie tylko w swych bezsensownych podbojach i rodzinno-dynastycznych ambicjach, ale i w tak zbyt wymuszonym okrucieństwie jak rozstrzelanie ks. d'Enghien. Taylleyrand słusznie pouczył cesarza, że popełnił więcej niż zbrodnię bo głupstwo.

Jeśli chodzi o politycznych głupców, Francja nie może skarżyć się na uposłedzenie. Arcygłupcami byli generałowie z afery Dreyfusa. Przyzwoitszy od nich, ale nie rozumniejszy od nich był niemiecki gen. Schleicher, który łatwo mógł unieszkodliwić Hitlera. Bunt francuskich studentów, których próbuje się gloryfikować, był aktem szaleńczej głupoty. Doprowadził państwo do takiej ruiny, że przy najlepszej chęci nie może przeprowadzić najistotniejszych i słusznie wymaganych reform. Inwazja Czechosłowacji i marcową prowokacja Gomułki — Moczara z następnym rozpętaniem hecy antysemitkiej nie świadczą chlubnie o mądrości autorów. Musimy jednak przerwać te smutne rozważania, bo gotowe nas doprowadzić do deprymujących wniosków, że nasze losy zależą od kaprysów nadgłupców.

Na pocieszenie mogą jednak zapewnić, że osobnicy o zgoła nie imponującym intelekcie są zdolni okazać zdumiewający rozsądek. Skromny maszynista kolejowy Chifley uzdrowił Australię w trudnej sytuacji gospodarczo-politycznej, a swej socjalistycznej partii zjednał ogólne uznanie i długoletnie rządy. Gdy kierownictwo po nim objął intelektualista wysokiej klasy, historyk i sędzia najwyższego sądu Evat, powstał chaos, demoralizacja partii i odsunięcie jej od rządów na dziesiątki lat.

Jest kwestią sporną, czy głupotę przynosi się z sobą na świat. Osobiście jestem skłonny przyjąć, że tak. Jeśli nie wprost, jeśli nie już wykształconą, to niewątpliwie warunki, umożliwiające jej powstanie i rozwój. Wpływy zewnętrzne mogą przyspieszyć ten proces i wywabić charakterystyczne cechy. Są ludzie dobrze czujący się w roli głupców, chętnie błaznujących i zachęcających bliźnich do podziwiania ich w tej roli. Taka z pozoru niewinna skłonność

może przyczynić się do utrwalenia niepożądanego rysu.

Także zbyt wczesne i skrajne specjalizowanie się, kurczowe czepianie się jednego problemu, zwężenie umysłowego pola widzenia grożą niebezpieczeństwem. Budzą wrażenia maniactwa, ślepoty, „obcości poza jednostronnym scjentyzmem.

Zbliża się do tego typu, rzadki na szczęście, „Salonblödsinn“. Jest to częściowa tylko głupota, a polega na nagłym wypadnięciu rozumowej i naukowej orientacji u zresztą inteligentnych, nie rażących, dobrze dostosowanych i wykształconych osobników. Przykład: niemiecki dramaturg Hochhuth i jego upór w przypisywaniu Churchillowi roli mordercy Sikorskiego.

Głupota jest problemem więcej socjologicznym aniżeli psychologicznym. Każdej radykalnej zmianie, wszystkim rewolucjom towarzyszy masowy wybuch utajonej głupoty. Nie chciałbym sugerować, że głupota jest przyczyną gwałtownych przewrotów. Nie — ale swym istnieniem, swym przesiąkaniem szerokich mas stwarza korzystne warunki dla wypłynięcia ambitnej jednostki i jej zbrodniczych poczynań.

Psycholodzy poświęcili dużo pracy analizie takich ruchów.

Dynamizm politycznej głupoty czerpie popęd z rozdmuchanej przez demagogów wrogości. Ta wrogość, częściowo podświadoma, stwarza poczucie winy. Wynikły ze starcia dwóch pierwiastków konflikt wywołuje przebliski oprzytomnienia i skruchy. Świadomość zdolna jest ocenić sprawiedliwie słuszność i przy-

GRYF PUBLICATIONS  
LTD.

LIDIA I ADAM CIOLKOSZOWIE

ZARYS DZIEJÓW  
SOCJALIZMU  
POLSKIEGO

TOM I.

Str. 520

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

K S I Ę G A R N I A S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

zwoitość, ale podświadomość trwa w rewolcie. Pragnie zachować swój jałowy gniew mimo poczucia winy. Wskutek tego charakterystycznym rysem politycznym (również i innego) głupca jest niewspółmierność reakcji i chwiejność, przechodzenie z jednego obozu do krańcowo przeciwnego. Oszukuje z przyjemnością siebie samego. Sprzeniewierza się swym ideałom i zdradza towarzyszy. Pamięta natomiast o swoich „krzywdach“ i nigdy ich nie wybacza.

Każdy totalizm stwarza korzystny klimat dla wykluwania się i rozwijania się głupoty. Trudno o lepszy i banalniejszy przykład niż Hitler. Jego beznadziejne prymitywizmy znajdowały poklask tysięcy, intelektem go przewyższających głupców. Zapatrzeni i zahypnotyzowani glinianą potęgą führera rezygnowali na wysigci z niezależnego sądu i chłodnej oceny sytuacji jako też w oczy rzucających się faktów.

Głupiec jest czasem przysłowiowo uparty w swej niedorzeczności. Niemcy określają taką cechę jako „Borniertheit“. Nie znaczy to jednak, że jest zupełnie wyzuty ze zdolności przywołania niezależnej myśli. Nie ubiera jej jednak we własne słowa. Posługuje się i zadowala sloganami i hasłami, które wbiły mu się w mózg i objęły władzę nad nim. Ciąży na nim jakieś przekleństwo, tłumiące skutecznie normalne odruchy humanitarności i tolerancji. Raz powziąwszy jakieś postanowienie i utwierdziwszy się w słuszności chociażby najniedorzeczniejszego pomysłu, nie cofnie się przed wręcz groteskowymi konsekwencjami. Roehm i towarzysze ginęli z rąk führera z okrzykiem: Heil Hitler. I w tym tkwi niebezpieczeństwo. Nie byle jakie, bo możliwość wykorzystania ludzkiej głupoty dla najhaniańszych celów, czego świadkami, na globalną skalę, byliśmy niedawno.

Tragedią głupoty pozostaje fakt, że nie posiadamy środka leczniczego. Dotkniętego tą chorobą nie zdołamy ocalić ani perswazją ani edukacją. Dlatego nie należy dziwić się psychologom, że unikają zawodowego kontaktu z głupcami. Uczni w piśmie odsyłają ich do Boga. Biblia bowiem zapewnia: Obawa przed Bogiem jest początkiem mądrości.

Grzeszymy wszyscy próżnością. Więc i głupca rozpoznajemy z uczu-

ciem pewnej wyższości i zadowolenia z odkrycia. Podnosi ono nas we własnych oczach, gdy ustalamy nieprzekraczalną granicę między rozsądkiem hominis sapientis, reprezentowanym przez nasze osoby, a ubóstwem jakiejś — w naszym mniemaniu — niższej istoty. Sęk w tym, co już napomknąłem, że nasz sąd opieramy na nieco chwiejnych przesłankach. Na bliźniego patrzymy przez pryzmat naszych własnych, kapryśnych uprzedzeń, zabobonów, przesądów, wymagań etc. Z rezultatu tych spostrzeżeń wyciągamy wnioski. Zapominamy jednak, że obowiązują jedynie nas samych i że nie wolno przypisywać sobie prawa narzucania ogółowi własnych sądów. Widmo powstałe z przepuszczenia kryteriów innych osób odnośnie tego samego przedmiotu może różnić się, nawet diametralnie od naszego i wywołać zgoła odmienne wrażenie. Jeden ze znanych angielskich mężów stanu uchodził przez lata za pięknie rokujący talent. Mussolini, po pierwszym spotkaniu, ujął swój sąd w jednym, druzgocącym zdaniu: Nie widziałem nigdy głupca lepiej ubranego. Chamberlain po powrocie z Monachium kazał podziwiać się w roli męża opatrznociowego Europy. Wystarczy zaznajomić się z jego niedawno ogłoszonym planem „Z“, aby załamać ręce z podziwu nad ludzką głupotą.

Krytyka i satyra dobrały się już dawno do tej wady. Podniósł ją do wysokiej rangi nieśmiertelny Erasmus z Rotterdamu, napisawszy swą „Laus stultitiae“ (Pochwała głupoty). Do utworów powieściowych wprowadził głupców G. Flaubert. Jego „Bouvard et Pécuchet“ zdradza głęboką znajomość problemu. Muzyka zawdzięcza błaznom i sowizdrzałom dwa arcydzieła: Pajace (Leoncavallo) i Till Eulenspiegel (R. Strauss).

Powyższy szkic miał za zadanie zwrócenie uwagi na: a) doniosłość głupoty; b) próbę jej psychologicznego ujęcia; c) trudności rozpoznawcze. Pragnę podkreślić, że bezstronność i wstrzemięźliwość, w połączeniu z wyrozumiałością, obowiązują w stosunku do bliźnich. Pytałem raz o zdanie prof. L. Flecka, nieżyjącego lwowskiego filozofa, historyka i mikrobiologa, co sądzi o jednym ze szpitalnych kolegów, źródle naszych nieustannych kłopotów. Odpowiedź uczonego brzmiała: Ten osobnik nie wydaje się osiągać granicznego szczebla mądrości. Na widok mej rozczarowanej miny dodał: Sądy ludzkie są pochopne, w oczach Ksantypy Sokrates uchodził za zdecydowanego głupca.

Fryderyk Goldschlag

## Czytaj książkę po polsku

### STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW i GRYF PUBLICATIONS LTD

z a w i a d a m i a j ą ,

że ukazała się w związku z 25-eciem walk Żołnierza Polskiego we Włoszech niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e :

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

**D**O PRA-HISTORII należą już dzisiaj czasy, kiedy cichutko powiedziane w towarzystwie słowo „homoseksualista“ wywoływało okrzyki oburzenia albo wstrętu, a w najlepszym wypadku — wstydlive rumieńce. Seks we wszystkich jego postaciach, dewiacjach i kształtach, pluralistyczny czy monistyczny, to już nie „To o czym się nie mówi“, ale wprost przeciwnie. Starożytnie tabu rozpadło się w gruzy, a z gruzów powstała Moda, Business, Dziką Szal, w dwóch słowach — Seksomania Acuta.

Spacerując po Picadilly Circus, na Kings Road w Chelsea, czy w okolicach, człowiek zaczyna się krępować, że jest „normalny“, że jeszcze żywi jakieś przesady co do spraw uważanych ongiś za jak najbardziej intymne; przypomina sobie z nostalgią czasy, kiedy w Paryżu, tej zdebronizowanej dzisiaj „stolicy grzechu“, podejrzane postacie zapraszały szeptem przechodniów zbłąkanych na podejrzanych ulicach, aby przez dziurkę od klucza, za ciężkie pieniądze, obejrzeni wiadomego rodzaju „pokazy“. Albo wsuwali do ręki prymitywne karty z paniami w czarnych pończochach. Adieu, te czasy, dzisiaj seks stał się publiczną własnością, dostępny za darmo albo za cenę jednego biletu do kina czy do teatru, dla wszystkich bez wyjątku, czy kto chce, czy nie chce.

Długowłosi chłopcy, którzy wyglądają jak dziewczynki, tulą się do dziewczynek, które wyglądają jak chłopcy i śpiewają smutne miłosne piosenki urozmaicone pieprzonymi słowami. Takie same piosenki śpiewają inni, którzy od anachronicznej miłości uciekają w oman narkotyków, znajdując w nich, podobno, super-seks, jakiego nie mogą im widocznie dostarczyć partnerki odkrywające za szybko wszystkie karty. Pod fontanną z Kupidem potężna murzynka pięści delikatną blondynkę, obie doskonale obojętne na widów, dzieci czy nie dzieci.

Dzisiejsza młodzież jest przekonana, że to ona wymyśliła seks, a że do historii nie mają czasu zaglądać, z niedowierzaniem i dużą dozą pogardy przyjmują wiadomości o Kleopatracach czy Westalkach, o Safo czy o rzymskich pederastach. Cytaty z Dekameronu Boccaccia spotykają się z gromkim śmiechem, jako czy-

MINA TOMKIEWICZ

# SEKSOMANIA

tanki dla dzieci, jako że dzisiejsze best-sellery poświęcają całe strony takim sprawom jak zbiorowe akty płodzenia, w małżeństwie czy poza nim, oraz innym „wyczynom“, a to wszystko w języku, o którym się Dekameronom nie śniło.

Ponieważ wielostronny seks stanowi obecnie dla Anglii jedno ze źródeł dodatkowej waluty, uzupełniając nadwyreżony budżet, państwo robi wszystko co w jego mocy, aby popierać ten nowy business, na eksport i na wewnętrzny użytek. W ramach akcji „Seks dla turystów“ wydane zostały tanie przewodniki po zakamarkach londyńskiego seksu, jak np. „The New London Spy, Dyskretny Przewodnik do przyjemności miasta“. W przewodnikach tych, prócz dokładnych adresów gdzie, co, jak i z kim, naiwny czytelnik znajdzie także „klucz“ do rozszyfrowania wszelkiego rodzaju ogłoszeń w narodowej prasie, lub wywieszonych przed niepozornymi sklepikami, obok rozpaczliwych krzyków o pomoc domową. I tak np. niech nikt nie zgłasza się po obuwie po przeczytaniu ogłoszenia „Buty do konnej jazdy zawsze do sprzedania na Park Lane No...“, bo w rzeczywistości znajdzie pod podanym adresem burzliwe możliwości podniecania niedomagań płciowych przy pomocy... batów. A „Ciemne lalki na sprzedaż w Shepherd's Bush“ nie mają nic wspólnego z lalkami; to po prostu — tak tłumaczy przewodnik, który jest do nabycia za 10 szylingów we wszystkich księgarniach — „kolorowe“ dziewczęta, które dostarczają mocnych wrażeń klientom, we dwójkę czy w trójkę, jak kto lubi. Z każdej popołudniowej gazety można dowiedzieć się, że przeszło 10 milionów funtów rocznie przechodzi przez ręce cór Korintu, tych zawodowych i amatek.

Nie darmo cierpiał w lochach więziennych Oscar Wilde: nowe światy otworzyły się dla homoseksualistów po ogłoszeniu ustawy o legalizacji homoseksualizmu, o ile uprawiany jest przez dorosłe osoby, w intymności własnego domu. Skończyły się szantaże, które doprowadziły do sa-

mobójstwa słynnego dra Warda; opustoszały ubikacje kolejek podziemnych i kin, gdzie prześladowana mniejszość znajdowała schron. Miłość „tylko dla mężczyzn“ a wedle ostatnich statystyk w Anglii znajduje się przeszło milion aktywnych homoseksualistów, do których dodać należy sporą garść turystów — prosperuje teraz z otwartą przyłbicą w kilkudziesięciu rozreklamowanych „pubach“ i w kilkunastu klubach, dostępnych nie tylko dla wtajemniczonych. Jak interes to interes.

Miarodajne źródła, opierające się na wiarygodnych statystykach stwierdzają autorytatywnie, że seks stoi na pierwszym szczeblu drabiny zainteresowań ludzi wszystkich ras, wyznań i poglądów. Wobec czego coraz bardziej wpływowe i potężne środki masowej komunikacji prześcigają się w wyzyskiwaniu tego zainteresowania i w przekształcaniu go w brzęczącą monetę. Nudni w swojej za normalnej przyzwyczajoności, mali szarzy ludzie nie stanowią „gorącego“ tematu dla rywalizujących ze sobą tłumów dziennikarzy, artystów, teatro — czy kinologów, oraz innych pośredników między nami a światem. „Virtue has no news value“, jak mówi angielskie przysłowie. Obawiam się, że jeszcze kilka lat takiej intensywnej sekso-propagandy może doprowadzić np. do tego, że trzeba będzie uciekać z Anglii w obawie przed ustawą wprowadzającą obowiązek homoseksualizmu, czy coś w tym guście.

Szczytowe miejsce w tej obłędnej pogoni za sekso-sensacją należy się jednak, niewątpliwie, ludziom kina i teatru. Ci przeszli sami siebie, i to na międzynarodową skalę, jako że płody ich obsesji pochodzą z różnych krajów i kontynentów, i także rozchodzą się na cały świat. Ponoć popyt tworzy podaż, ale w tym wypadku, mam wrażenie, jest na odwrót.

Trudno dzisiaj znaleźć film, żeby nie było w nim seksu w takiej czy innej postaci. Zwyczajna nagość przestała już sprawiać wrażenie — tyle jej można oglądać przecież w muzeach i galeriach! — wobec czego dbający o opinię reżyserzy podają



# ACUTA

ją w przeźroczystrych wdziankach, jako strip-tease, czy w specyficznych ruchach. Fimy nie ograniczają się już do migawkowych zdjęć obnażonych postaci, który to zwyczaj wprowadzili jeszcze przed II wojną światową pojedynczy szwedzcy reżyserzy. (Pamiętam jeszcze, jak to nas szokowało, gdy w największej tajemnicy przed rodzicami gnało się, aby zobaczyć panienkę w stroju Ewy, skromnie przemycającą się przez bardzo wysokie szuwały przez nie więcej jak pół sekundy!). Dzisiaj nikt nie uważałby się za godnego żyć w drugiej połowie XX wieku, gdyby nie pokazał golasów w łóżku czy na trawie, „przy robocie“.

Mało tego, ponieważ artystystycznie czy nie-artystycznie pokazany akt płciowy stał się już za banalny, po prostu opatrzył się publiczności, do filmowego rydwanu seksu zaprzężono naukę. I tak na przykład, w nowym włoskim filmie pt. „Labirynt miłości“, reżyserii 26-letniego Owidiusza Assonitis, ekran oddaje w ciągu 15 minut każdą sekundę stosunku seksualnego między blond Ragni Malcomson a przystojnym Franco Lante, „od pierwszych szepcótów i pieszczot do orgazmu i kłiwności post-coitum“. Podłączone do pary publicznych kochanków elektrokardiografy i encefalografy pokazują dokładnie wszystkie zmiany w ich sercach i mózгах, przy czym trzech uczonych profesorów medycyny i socjologii uzupełnia nagrane „na żywo“ sceny odpowiednimi komentarzami.

Ale to jeszcze mało. Aby „Labirynt miłości“ spełnił obietnice zawarte w tytule, inne części filmu poświęcone są miłości lesbijskiej i homoseksualnej, fetysyzmowi, masochizmowi i voyeryzmowi, i ukoronowane operacją — autentyczne zdjęcia z sali operacyjnej — której celem jest zamienić mężczyznę w kobietę, czy może na odwrót. Jak widzimy, labirynt jest, tylko co to ma wspólnego z miłością?

Nie wiem, czy Freud byłby szczęśliwy oglądając „Labirynt“, ale mam poważne wątpliwości, czy tego rodzaju super-publiczny, super-ekshibcjonizm rzekomo ongiś za bardzo „tłamszonego“ seksu, jest odpowiednim środkiem na leczenie kompleksów udręczonych ludzi. I co mnie złości, że tego rodzaju film, który ściągnie miliony widzów i zarobi miliony funtów, kryje się za parawanem nauki. Od kiedy to, bo wiem, nauka udostępnia laikom swoje laboratoria? Bo po co, w tym wypadku jest całkiem jasne.

Od czasu zlikwidowania angielskiej cenzury teatralnej, w co drugim teatrze mamy strip-tease na scenie (Charlie Girl, Italian Girl), a jak nie, to po prostu chłopcy i dziewczyny paradują w strojach Adama i Ewy, nie odstraszeni zimmem. („There is a girl in my soup“, „Hair“, wszystkie niemal sztuki w Open Space Theatre itd.). Złośliwi twierdzą, że po kilku miesiącach wytężonej pracy w cieszącym się ogromnym powodzeniem „Hair“ — przedstawienie skąd inąd niezwykle ciekawe — pokryte gęsią skórą golasy wyglądają już jak szkielety, mowy nie ma żeby kogoś podniosły.

Jeżeli zapoznani bohaterzy seksomanii nie narażają się na zapalenie płuc w niedostatecznych strojach, to pewnie dlatego, że grają role homoseksualistów. „Fortune and Men's eyes“, „The Latent Heterosexual“, „The Staircase“ — to tylko kilka z bieżących sztuk teatralnych o pederastach, z tym że niektóre z nich grane są w najpoważniejszych narodowych teatrach. W „Spitting Image“ mężczyźni wołający mężczyzn nawet płodzą i rodzą dzieci. Wkrótce wróci na scenę sztuka Osborne'a „A patriot for me“, która przed laty była zakazana przez cenzurę. Ustawa, która była zresztą spóźniona o wieki i naprawiła wiele krzywd, otworzyła zarazem wszystkie tamy homoseksualnej twórczości. Sztuki te cieszą się powodzeniem i stanowią poważną pozycję w bilansie eksportu.

Trudno sobie dzisiaj nawet wyobrazić, to wszystko co idzie w teatrze pod nazwą sztuki, czy w jej

imię. Royal Court, znany ze swojej odwagi i bardzo poważnych osiągnięć w dziedzinie nowoczesnego i szekspirowskiego teatru, wystawił przed pół rokiem jednoaktówkę, której bohaterami byli tragicznie zmarła sex-bomba Jane Harlow i jej przyjaciel Bill. Przez półtora godziny dwie postaci sceniczne w poszukiwaniu seksualnych rozkoszy powtarzały sobie jak najbardziej ordynarne słowa, przy akompaniamencie jeszcze bardziej ordynarnych gestów, mających obrazować na scenie to, co nasi rodzice robili w łózkach. Obecnie wróciła z honorami sztuka Bonda „Sawed“, w której bohater, od razu w pierwszej scenie, zapina sobie ostentacyjnie guziki w pewnym określonym miejscu, abyśmy nie mieli żadnych wątpliwości co do rodzaju stosunku, który przed chwilą uprawiał na kanapie z prostytutką.

Danny la Rue, niezwykle przystojny mężczyzna, który zrobił ciężkie miliony występując jako trawestyta, na Boże Narodzenie wystawił „sztukę dla całej rodziny“ — „Queen Passionella and the Sleeping Beauty“ —, w której gra rolę 13 cudownie ubranych kobiet (i rozebranych też), nie szczędząc przy tym ordynarnych żartów i dwuznaczników na takimże poziomie. Na popołudniowych przedstawieniach Passionelli znajdziemy pełno dzieci, ale rodzice są bardziej zadowoleni.

Monopolista w sprawach homoseksualizmu, teatr angielski nie jest jednak jedynakiem jeżeli chodzi o inne seksy. Teatr amerykański np. uskarża się na brak ekshibcjonistów i ten smutny fakt przysparza kłopotów dyrektorom, nie uznającym sztuk z całkowicie ubranymi aktorami. W ostatnich latach każda sztuka teatralna, mająca jakiegokolwiek intelektualne pretensje, musiała mieć w Ameryce co najmniej jednego nagusa i albo golaskę. Tak samo jak w przemyśle, Japonia prześcignęła Anglię i Amerykę w pierwszej na świecie produkcji teatralnej, której tematem była nekrofilia. I tak dalej, i tak dalej.

Nie przypuszczam, żeby znalazło się wielu, którzy by chcieli wrócić do moralności pani Dulskiej, czy do pełnych hipokryzji wiktoriańskich czasów. Ale zjawisko, z którym mamy do czynienia dzisiaj, w imię róż-

NIE POŻYCZAJ... NUMERU „ORŁA“, RACZEJ PRZYŚLIJ ADRES ZNAJOMEGO (a my mu dostarczymy każdy numer)

(Dokończenie na str. 24)

# W 50-lecie 5 DYWIZJI

Podpisany w dniu 3.III. 1918 r. haniebnym traktat pokojowy Brzeski między Niemcami i Austro-Węgrami z jednej strony, a Rosją z drugiej, był przypieczętowaniem ostatecznego rozbioru Polski. Sprawa polska była osią rokowań brzeskich, lecz radzono tam o nas bez nas. Na ziemiach polskich ten traktat IV-go rozbioru wywołał olbrzymie wrażenie i we wszystkich trzech zaborach wybuchy spontanicznego protestu.

II-ga Żelazna Karpacka Brygada Legionów polskich wypowiedziała służbę armii austriackiej przebijając się pod Rarańczą. Lecz zwycięskie wojska niemiecko-austriackie okupowały Psków i całą Ukrainę, rozbrajając formacje polskie: I Korpus Wschodni gen. J. Dowbór-Muśnickiego, a po bitwie pod Kaniewem II Korpus, który właśnie powstał z rozwinięcia II Żelaznej Karpackiej Brygady.

Nie było więc dalej możliwości walczenia o polską sprawę na ziemiach Polski. A gdy bolszewicy na żądanie Niemców odcięli drogę udającym się do Francji przez Murmańsk i Archangielsk rozbitkom rozbrojonych formacji, więziąc i rozstrzelując żołnierzy, (inicjując wrogi stosunek Rosji Sowieckiej do Polaków i Polski) — na wielkich rozłogach Rosji powstały jak feniks z popiołów: Oddział Murmański, 4 Dywizja Strzelców gen. L. Żeligowskiego i 5 Dywizja Wojsk Polskich na Syberii.

\* \* \*

Gdy zdawało się, że nad Poską zawisła czarna noc — wówczas nad rzeką Wołgą i na Syberii odrodziły się polskie oddziały, aby zadokumentować światu, że Polska żyje i aby bić się razem z Francją, Anglią i Ameryką przeciwko Niemcom i ich sojusznikom bolszewikom.

nych nauk, wolności czy sztuki, wywołuje za często całkiem odwrotny efekt niż zamierzony: seksomania acuta nie tylko obrzydza seks, ale także deprecjonuje ludzkie wartości, i częściej niż w przedfreudowskich czasach doprowadza do ludzkich tragedii. A specjalnie jeżeli chodzi o teatr — bezceści to co było w teatrze najważniejsze: poezję i piękno słowa.

Mina Tomkiewicz

Dla każdego Sybiraka pamiętne są upalne dni lipcowe 1918 r. na bezkresnych obszarach stepowych, położonych między Wołgą i Uralem w odległych guberniach rosyjskich: samarskiej, sibirskiej, kazańskiej, ufimskiej, orenburskiej i ekaterynburskiej — gdzie zostały założone podwaliny pod I-szy pułk strzelców im. T. Kościuszki. Legiony czeskie, które podążały przez Syberię do Władywostoku, aby tam wsiąść na okręty, na rozkaz Niemców, zostały przez bolszewików zatrzymane. Chwyciły one za broń i przy pomocy miejscowej ludności wyparły bolszewików z Syberii i Wschodniej Rosji, stwarzając front na linii rzeki Wołgi. Natychmiast po tym zaczęły tworzyć się samorzutnie polskie oddziały wojskowe, przyjmując często nazwę Legionów, a więc: Legion Omski, Irkucki, Siemipalatynski, Charbiński oraz kompanie w Samarze, Ufie, Kazaniu, Orenburgu, Ekaterynburgu itd. Z kogóż składało się to wojsko? Wyłącznie z ochotników: byłych wojskowych armii rosyjskiej, z jeńców wojska austriackiego i niemieckiego, z ewakuowanej w czasie wojny z Polski lub miejscowej ludności polskiej, potomków powstańców 1863 r., i innych zesłańców, z żołnierzy i oficerów Karpackiej Brygady i Dowbora, którzy nie mogąc dotrzeć na Murmańsk, przedarli się nad Wołgę. Wreszcie, wstępowała gromadnie młodzież harcerska z drużyn w Samarze, Orenburgu i Ekaterynburgu. Zapał był tak wielki, że zgłaszali się razem ojcowie i synowie, a do kancelarii nie można było znaleźć ludzi, gdyż uważali sobie niemal za hańbę służenie w nieliniowym oddziale. Ledwie zorganizowane kompanie od razu szły na front, biorąc w lipcu i sierpniu udział w walkach pod Ochlebinino i Iglino, gdzie się spotkały ze słynnym później sowieckim dowódcą, marszałkiem Blücherem. Na początku sierpnia przedarł się z Moskwy, obejmując dowództwo z rozkazu gen. J. Hallera mjr. W. Czuma (w roku 1939 obrońca Warszawy) z Karpackiej Brygady, z szefem sztabu kpt. R. Woli-

kowskim, dowódcą i por. J. Dojanem-Surówką z I Brygady Legionów.

Wojsko liczyło już wtedy około 2.000 ochotników. Jako centrum formowania Wojska Polskiego wyznaczono tatarskie powiatowe miasto Bugurustan. Gdy w październiku Czesi wycofali się z frontu, Polacy ścignęli do m. Ufy rozproszone kompanie 1 p. im. T. Kościuszki, z zamiarem ewakuacji do Nowo-Nikołajewska w środkowej Syberii. Jednakże na żądanie rosyjskiego dowództwa 1 pułk strzelców, 1 bateria i 1 szwadron pod dowództwem ppłk. K. Rumszy znalazły się już 1-go listopada na froncie koło Ufy, w grupie gen. Kappla, w celu ratowania zagrożonego frontu. Podczas trzaskających, 20-30 stopniowych mrozów w ciągu listopada i grudnia oddział ten uganiał się na tatarskich „podwodach“ za bolszewikami. Stoczono kilkudniową bitwę o Górny i Dolny Sardyk, dwie bitwy o wielką wieś Bajraki, o miasto Bebej, bój pod Konstantynówką, pod Janyszewem. Gumerowem i szeregiem pomniejszych. Walka nosiła charakter ruchowy: zaskoczeń i obejść. Z czarnymi od odmrożeń twarzami, przez śnieżne zasy szły w tyralierach strzelcy do ataku. Walczono zaciekle... o nocleg, o posiadanie odległych od siebie o 15-20 wiorst wsi, aby nie zamarznąć w polu. Oddział polski okazał się najlepszym w Korpusie Kappla, zyskując zasłużoną sławę.

W czasie tych walk oddział przeżył dwa wstrząsy moralne. W dniu 11. listopada 1918 r. nastąpiło zawieszenie broni i koniec wojny na froncie zachodnim. W tym samym dniu rozbrajanie w Polsce Niemców i Austriaków symbolizowało odrodzenie państwa polskiego. Żołnierz i oficer rwali się i marzyli, aby w takiej chwili być w Polsce; kilkulatnie oderwanie od kraju i domu wzmagaly tęsknotę. Drugi wstrząs nastąpił, gdy doszła wiadomość, że dnia 17 listopada zamach stanu w Omsku wysunął admirała Kołczaka na dyktatora. Świetny to był marynarz, ale reakcyjny polityk. Jego

# SYBERYJSKIEJ

B.D.I.C

rząd nie uznawał niepodległości Polski, co od razu dano odczuć i naszemu wojsku. To wszystko potęgowało chęć powrotu do kraju, lecz nie załamało spistości wojska.

Tymczasem w Nowo-Nikołajewsku wojsko polskie szybko rozrastało się. Powstał 2 i 3 pułk strzelców i batalion zapasowy; pułk artylerii, pułk ułanów, baon szturmowy, baon techniczny, oraz cały szereg innych oddziałów i służb — razem ponad 12 tysięcy żołnierzy. Sprawa naczelnego dowództwa i łączności z krajem przedstawiała się źle. Początkowo polegaliśmy na Czechach, lecz gdy w styczniu 1919 r. w Polsce napadli oni na Cieszyn, zmienili też i do nas swój stosunek, w wrogi. W styczniu 1919 r. nad oddziałami koalicyjnymi na Syberii, na zachód od jeziora Bajkał, a więc, w rzeczywistości nad 12.000 Polaków i ponad 40.000 Czechów objął dowództwo francuski gen. Maurice Janin, który całkowicie popadł pod wpływ czeskiego dowódcy J. Syrowego. Janin oświadczył zresztą, że nie lubi Polaków: staliśmy się więc od razu pasierbami.

W początkach maja 1. pułk strzelców ściągnął również do Nowo-Nikołajewska. Tymczasem sytuacja na froncie pogarszała się, stając się katastrofalną. Bolszewicy wzięli Ufę, przekroczyli Ural i stopniowo zagarniali całą Syberię. Sytuacja rządu Kołczaka była rozpaczliwa. Reakcyjne metody tego rządu zraziły rdzenną ludność syberyjską: samorządy i szeroko rozwiniętą spółdzielczość, przeważnie socjal-rewolucyjną pod względem politycznym. Początkowo antybolszewicy, po roku mieli dosyć rządów reakcji: latem 1919 r. cała Syberia znalazła się w ogniu powstań chłopskich, antykołczakowskich. Polaków, chcących coraz niecierpliwiej wracać do Polski, dążących do wyrwania się z tego chaosu i makabry rosyjskiej wojny domowej — rozkaz Janina zatrzymał i obarczył obroną wielkiego odcinka transsyberyjskiej kolei. Magistrala ta była jedynym środkiem komunikacji z Władywostokiem.

Polakom powierzono ochronę odcinków stacja Tatarskaja (koło Omska) — Nowo-Nikołajewsk (500 km); odgałęzienie od Tatarskaja do Sławgorodu (350 km.); oraz odgałęzienie Nowo-Nikołajewsk-Barnaul na Altaju (250 km.). Obrona tych odcinków wymagała szeregu wypraw w okoliczne stopy Urmański, Barabiński, Kułundyński, oraz na prawy brzeg rzeki Obi, w celu odpędzania od linii kolejowych partyzantów. Wyprawy te miały w sobie coś z dziejów dawnych zagonczyków, tropiących wroga w bezmiernych stepach dzikich pól. W dzień spaleni od słońca, pokryci słonym kurzem, w nocy dzwoniąc zębami od chłodu, na „podwodach“ syberyjskich włościach, przemierzali setki kilometrów, staczając szereg bitew i potyczek m.in. pod Spirynem, Górną i Dolną Pajwą, Krutichą, Lenkami, Sidorką, trzykrotnie pod Kamieniem. Wzajemna zaciętość i natężenie walk rosło. Polacy walczyli, wykonując rozkaz. Nie czuli oni nienawiści do tych chłopów, którzy jeszcze nie zaznali życia w kołchozach i bolszewickiego ucisku. Polacy pragnęli jedynie przebić się i z bronią w ręku wrócić do kraju.

We wrześniu (1919) otrzymano telegram Naczelnego Wodza J. Piłsudskiego o przejściu od gen. J. Hallera dowództwa nad 5 Dywizją Syberyjską i o podjętych staraniach o powrót do Kraju.

Te słowa otuchy bardzo się przydały w chwili upadku Kołczaka. Gdy późną jesienią 1919 r. po zajęciu 14-go listopada jego siedziby — Omska przez 5-tą armię sowiecką Tuchaczewskiego, rozpoczął się paniczny odwrót, gen. Janin, który wyznaczył Polaków do pozostania w straży tylnej i apelował do ich „honoru“, aby jeszcze raz wysłali wojsko pod Kamień n/Obi. I stało się, iż nie wypoczęci Czesi, a ciężko walczący przez całe lato z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem, nie mający ani wypoczynku, przemęczeni Polacy, zostali arriergardą nie tylko cofających się wojsk sojuszniczych, ale i uciekającej w panice armii Kołczaka i ludności cywilnej.

Rozkaz był niesprawiedliwy, ponadto przesądzał z góry los Polaków — oznaczał zgubę 5 Dywizji. „Nieprzewidujący“ Janin zarządził spóźnioną ewakuację, która przerosła się w walki odwrotowe z otaczającym ze wszystkich stron przeciwnikiem. Polacy doznawali sztykan od władz kołczakowskich, Czechów i Janina. M.in. zabronił on wcześniejszego wysłania rodzin polskich na tyły — co postawiło w tragiczną sytuację walczących żołnierzy.

Warunki, w jakich odbywał się ten odwrót można porównać z odwrotem Napoleona spod Moskwy. Wojsko polskie na Syberii, tak jak ongiś polskie legiony za Napoleona, otrzymało najniebezpieczniejsze zadanie do spełnienia. W tych strasznych tygodniach odwrotu, dywizja cofała się krok po kroku, staczając szereg walk z szybko posuwającymi się oddziałami regularnej armii czerwonej, przebijając się przez oddziały otaczających powstańców. Straż tylna dywizji pod kpt. J. Werobejem kilkakrotnie odrzuciła Czerwotnych pod Bołotnoje, Tutalskaje, Litwinowo i Jaszkino. Wreszcie, dnia 23 grudnia rozegrała się ostateczna całodniowa bitwa o węzłową stację Tajga, zakończona zwycięstwem. Z trzech odciętych od siebie na początku bitwy części 5 Dywizji — środkowa znajdowała się na stacji Tajga. Otoczona grubym pierścieniem kilku potężnych powstańczych oddziałów i pułkami kołczakowskimi z Tomka, które przeszły na ich stronę, zaskoczona, bohatercko broniła się pod dowództwem kpt. Wernera i Szolu-Srokowskiego, kpt. Jurkiewicza i in., wyrzucając przeciwnika z torów i kontratakami oddziałów 2 p. str., baterii, ułanów i innych oddziałów oczyszczając rejon stacji. W tym czasie, nadchodząc z zachodu w szyku bojowym, uderzyła z furją do szturmu na granaty i bagnety straż tylna Werobeja w składzie III baonu 1 p. strzelców i baonu szturmowego, przebijając się na stację i obejmując dalsze kierownictwo walką. Bitwa krwawa i mordercza, niezwykle zacięta, obfitująca w szereg lokalnych epizodów walki wręcz, zasłużenie zachowała pole walki przy Polakach. Po bitwie tej czerwoni zmienili taktykę: przestali niepokoić

(Dokończenie na str. 26)

# CUDZOZIEMKA

5-tą Dywizję, natomiast jadąc traktem syberyjskim obeszl nas głęboko, znów zagrażając odcięciem. Wszystkie miasta przy stacjach kolejowych, łącznie z leżącym nad szerokim Jenisejem miasto Krasnojarsk — „Kronsztadtem Syberii“, były już opanowane przez anty-kołczakowców.

Jednakże bitwa o Tajgę sprawiła, że z Polakami nie wszczynano walki. 100 wiorst na wschód od Krasnojarska na st. Klukwiennaja Polacy dotarli do ewakuujących się spokojnie i powoli Czechów. Zatarasowali oni swymi pociągami tory nie przepuszczając Polaków, których znów zaczęła naciskać regularna armia sowiecka. Płk. Czuma zwrócił się telegraficznie do Irkucka do gen. Janina i Syrowego z prośbą o złuzowanie, do ostateczności wyczerpanej 5 Dywizji, walczącej od maja i broniącej odwrotu na przestrzeni 1350 km. W ostatecznym razie prosił o przepuszczenie 3 pociągów z rannymi, chorymi i rodzinami. Na te prośby otrzymano tylko od Syrowego kategorię odmowę. Wobec niemożności przyjęcia walki z armią czerwoną, płk. Czuma, dnia 10.I. 1920 r. podpisał kapitulację, której warunków bolszewicy nie dotrzymali. Nie mógł tego przewidzieć, tak jak 16 przywódców Polski Podziemnej, po tylu tragicznych doświadczeniach, nie przewidziało swego uwięzienia w 1945 roku. Gen. Janin poinformował fałszywie telegraficznie Paryż, że Polacy przeszli na stronę bolszewików. Żołnierze i oficerowie 5 Dywizji, którzy nie ufali bolszewikom, próbowali przedzierać się na wschód. Z tych, którym się powiodło, w liczbie około 1.000 płk. Rumsza, Dindorf-Ankowicz i Wero-biej sformowali później w Charbinie oddział, który przez Władywostok wrócił do kraju i rozwinięty w Samodzielną Syberyjską Brygadę Piechoty, po tym wziął udział w bitwie o Warszawę w 1920 roku. Sam zaś fakt udziału 5 Dyw. Syb. w ciągu 18 miesięcy od I.VII.1918 do 10.I. 1920 w walkach po stronie Francji, Angli i Ameryki był wielkim atutem Polski na konferencji pokojowej w Wersalu.

Stefan W. Woystomski

W wydanej w Paryżu w zeszłym roku pracy pt. „Pocztą Ojca Malachiasza“\*) — jeden z korespondentów podaje w wątpliwość wartość chrześcijaństwa, ponieważ istnieje ono od dwóch tysięcy lat, a nie wiadać wcale, aby ludzie stali się lepsi. Ojciec Malachiasz wyjaśnia mu w odpowiedzi tę prostą prawdę, tak trudną jednak do zrozumienia dla ludzi wychowanych w kulcie rozumu, że nikomu nie można podarować swego światopoglądu; że każdy człowiek musi sam dokonać wyboru, musi w jakimś sensie przeżyć ofiarowane mu wartości, musi je sobie przyswoić i na nich budować swe życie. A prawdą jest, niestety, że często ludzie wybierają z całą świadomością zło, odrzucając dobro. Co może zdziałać chrześcijaństwo przeciw złej woli człowieka? Decyzję pozostawiono każdemu z nas. Z każdymi narodzinami zaczyna się odwieczna sprawa wyboru i własnych doświadczeń. „Uczciwość się nie dziedziczy.“ I nawet nie można jej podarować w sposób wykluczający odrzucenie. Dziecko musi ów świat odkryć dla siebie i zdobyć osobno — indywidualnie, własnym aktem rozeznania i woli — tak jakby problemy uczciwość i rzetelność narodziły się wraz z powstaniem jego „świata“. Bo jest osobnym człowiekiem. Ta ważna prawda odnosi się nie tylko do chrześcijaństwa, dotyczy ona wszystkich zespołów wartości wypracowanych przez każde pokolenie. Mogą one być przyjęte lub odrzucone przez młodych.

Bogate treścią książki Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej: „Teresa — dziecko nieudane“ i „Gringa“ zaha-czają również o ten problem pierwszorzędnej wagi.

Teresa jest dzieckiem wewnątrznie rozdwojonym. Na indywidualność jej składa się dziedzictwo po dwoj-gu ludziach krańcowo różnych. Matka jest Polką, patriotką, skłonną

do największych ofiar dla Ojczyzny, altruistką biegnącą zawsze z pomocą, gotową w każdej chwili do wyrzeczeń na rzecz bliźnich. Jest wier-ną i kochającą żoną człowieka, który pozostawił ją w czasie wojny samą z dzieckiem. Ojciec, pół-Niemiec, pół-Czech, z kompleksami zrodzonymi we wczesnym dzieciństwie, jest egoistą i cynikiem. Zmienia narodo-wości jak rękawiczki, zależnie od koniunktury, wyjeżdża z kraju tuż przed wojną i pozostaje za granicą nie aby walczyć o wolność swej polskiej czy czeskiej ojczyzny, ale by robić pieniądze per fas et nefas i używać życia. Jest snobem, smakoszem i rozpustnikiem.

Teresa, dziedziczka tych bieguno-wo różnych temperamentów i świa-topoglądów, burzy się przeciw pa-triotypycznej ofiarności matki, przeciw jej sentymentalizmowi. Zdrowy rozsądek po ojcu-Pepiczku nie może się pogodzić z ofiarami, które są z góry skazane na daremność.

Matka ginie w powstaniu jako łączniczka — na szczęście dla niej w początkowym okresie sukcesów powstańczych. Nie musi patrzeć na zniszczenie Warszawy i całkowitą klęskę. Teresa przeżyje wszystko. Zostanie zgwałcona przez trzech własowców, pozna nowy porządek w Polsce — i ucieknie z tego absurdalnego dla niej świata do ojca. Ale i ojca świat nie może jej odpowiadać, jego cynizm, nieuczciwość i rozpusta. Pozostanie jednak z nim dość długo, bo w jej żyłach płynie i jego krew. Jest ładna i ciągnie męskie oczy; po przywacjach i okropnościach okupacji i powstania kusi ją początkowo życie w luksusie. Na razie przynajmniej. Po tułaczce w Europie wyjeżdżają do Argentyny, do Buenos Aires, aby tam zapaść korzenie i rozpocząć nowe życie. I w tym momencie Teresa „urywa się“. „Bajoro“ i „śmietnik“ życia ojcowskiego stają się nie do wytrzymania. W Paryżu nauczyła się kosmetyki, uciekła więc ukradkiem i wyrusza własną drogą życiową daleko, aż pod Kordyliery.

Od tej podróży w nieznaną zaczyna się druga część całości, o której

\*) Jest to zbiór odpowiedzi czytelnikom, drukowanych od siedmiu lat w krakowskim „Tygodniku Powszechnym“, w rubryce pod tym samym tytułem.

zamierzam mówić — „Grynga“ (cudzoziemka).

Bo jest cudzoziemką ta odważna i energiczna dziewczyna, białą cudzoziemką w archaicznym społeczeństwie, powstałym ze stopu wyrafinowanej (choć anachronicznej) kultury hiszpańskiej z prymitywizmem patriotycznej, namiętnej czerwonej rasy. Społeczne przesady Hiszpanów podają tam sobie rękę z religijnymi zabobonami Indian.

Początkowo, jako kobieta samotna, pracująca zarobkowo, pozostaje na marginesie „dobrego towarzystwa“. Jest natomiast napastowana przez mężczyzn, bo samotna kobieta jest tam łatwym łupem zarówno dla białych, jak czerwonych, a także dla tych, w których żyłach płynie gorąca krew obu tych ras. Prawo nie chroni tam kobiety dostatecznie, nad jej moralnością i bezpieczeństwem czuwa klan rodzinny. A rodziny są liczne. Bierne i nudne w gruncie rzeczy kobiety rdzą bezustannie. A mężczyźni, znudzeni żonami, które nazywają „meblem“ — szukają rozrywek gdzie indziej. I nikt im tego nie bierze za złe, nawet zdradzone żony.

Ale Teresa z innej jest ulepiona gliny. Jej rzetelna, inteligentna praca, oporność wobec wszystkich załotów — dość łatwa po dramatycznym przeżyciu z własowcami — otwierają jej drogę do domu Antonia de Villagomez, miejscowego bogacza i arystokraty.

Ojciec, powiadomiony wreszcie o miejscu jej pobytu, zjawia się aby sprawdzić to wykołajone — jego zdaniem — życie na właściwe tory. Jest czarujący, efektowny, sobiepański, obsypuje córkę kosztownymi prezentami i błyskotliwością swą rozszerza ów wyłom w murze przesądów, który Teresa zdążyła zrobić swoją pracą i solidnością. Namawia teraz córkę do małżeństwa z Manolem, legalnym synem senora de Villagomez. Teresa nie kocha tego chłopca, ale nie kocha też nikogo innego. Nie zdaje sobie sprawy, że jej rogata dusza i piękne, młode ciało łakną miłości. „Pepiczek“ motywuje nacisk swój na jej małżeństwo złym stanem swego serca: nie chce jej zostawić bez opieki w obcym kraju. Teresa ustępuje, zaręcza się z Manolem. I byłaby sprzedała swą wolność za nietrwałą miłość

zepsutego, niezdolnego do głębokich uczuć chłopca gdyby nie spotkanie. przypadkowe spotkanie tego, który wzbudzi w niej od pierwszego wejrzenia głęboką miłość. Jest to José Maria, nielegalny syn senora de Villagomez i Indianki Cataliny. José Maria ma wszystko czego Manolo nie otrzymał w dziedzictwie po matce Hiszpance: siłę charakteru, zdolność do trwałych uczuć, inteligencję i energię życiową, rozróżnienie między dobrem i złem, miłość dla swego narodu, któremu Hiszpanie zabrali osobowość narodową i język. Jest pełnym, wiernym swoim zasadom człowiekiem, a jednocześnie jest zazdrosny o wszystko i o wszystkich, namiętnie zazdrosny.

Los Teresity został przesądzony. Nie wróci do Polski po śmierci ojca, znosić będzie w domu obecność starej, okrutnej Indianki, babki Joségo, zazdrosnej o miłość wnuka do „Gringi“. Rodzić będzie dzieci, walczyć daremnie o miejsce dla Polski w sercach tych dzieci, buntowanych z kolei przez Catalinę, matkę Joségo. Będzie z rozpaczą obserwowała, że zapomina języka polskiego. Będzie się przyjaźnić z zagubionym jak ona w oceanie obcości majorem z 2-go Korpusu, siać polskie kwiaty, uczyć dzieci polskich pieśni i tańca, czytać „Wiadomości“ i „Kulturę“, — aby w pewnym momencie uświadomić sobie, że z jej śmiercią wszystko to się skończy; że całe to dziedzictwo przekazywane jej przez matkę, które z niechęcią kiedyś odrzuciła, a po latach usiłowała wskrzesić w swych dzieciach, rozproszy się i zginie, bo jest tu przecie cudzoziemką, a dzieci wrastają w otaczający świat i polskość byłaby dla nich niepotrzebnym balastem.

Długą drogę przebyła Teresa, dziecko zbuntowane, aby powrócić do wartości tak lekko kiedyś odrzuconych, tak jak jej ojciec, który odrzucił niegdyś religię jako szkodliwy balast (... wojny krzyżowe, inkwizycje, tępienie pogaństwa, kacerstwa, żydostwa. Palenie na stosach! Wszystko w imię Chrystusa...). I on, chociaż dopiero na łożu śmierci, powrócił do Modlitwy Pańskiej i wspomnień dzieciństwa spędzonego w swej czeskiej ojczyźnie.

Obraz dany nam przez Janinę Surynową-Wyczółkowską we wspo-

mnieniach warszawskich pt. „W cieniu koronkowej parasolki“, był rysonowany piórką, delikatnie kolorowaną akwarelą. Język autorki i rytm opowiadania dostosowane były do owego momentu na przełomie stuleci, kiedy wiara w postęp i ustaloną na zawsze miarę etyczną człowieka pozwalała patrzeć ufnie w nadchodzący wiek dwudziesty.

Rzeczywistość w książce „Teresa, dziecko nieudane“, jest brutalna. Wiara w postęp i zwycięstwo rozumu porażona została piorunem krwawego absurdu. Przeciw temu absurdowi toczy się zacięta, bezpardonowa walka. Brutalny i zgrzebny jest język którym mówią warszawska ulica, brutalna i okrutna bywa dla matki Teresa. Trzeba by pędzła Goyi aby odmalować ówczesną polską rzeczywistość. Autorka sprostała trudnemu zadaniu przedstawienia jej bez sentymentalizmu.

W „Grindze“ wyazuje Surynowa-Wyczółkowska wielką znajomość środowiska. Ludzie, których nam pokazuje, nie są biali i czarni, są kolorowi, żywi. Opisy bogatej i egzotycznej przyrody są pełne barw i zapachów. Konflikty wybuchające w tym klimacie są gwałtowne jak trzęsienie ziemi. A największa przygoda w życiu Teresy — miłość — jest, mimo oszczędności słów, głęboko wzruszającą poezją. Język Teresy, w którym opowiada swe losy, zachował swą zwartość i chropowatość z czasów warszawskich, ale jej dawna bezwzględność zniknęła. Pogłębia się osobowość tej, jakże dzielnej — dziewczyny w jej wędrówce w głąb podwójnego dziedzictwa, z którego wydobywa to co najcenniejsze, wyrozumiałość i miłość dla ludzi.

W przedmowie do książki napisał Wacław Grubiński, że należy „pokochać to, co nam dokucza, polubić istnienie, życie“. I stwierdza dalej: „autorka Gringi dokonała tej sztuki. W życiu ludzkim, w przeżywaniu życia, widzi cud, cud olśniewający. O tym cudzie pisze z miłością. To kochanie się w życiu jest nadrzędnym czarem wielkiego talentu Surynowej-Wyczółkowskiej“.

Wacław Grubiński ma w tej opinii całkowitą słuszość. Twórczość Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej jest cenną pozycją w dorobku polskiej literatury.

(Dokończenie na str. 28)

# MINI — SAGA „AUSTRIACKIEGO

**T**AK, TO CHYBA najlepszy tytuł dla omówienia książki gen. Aleksandra Pragłowskiego, która ukazała się w ostatniej edycji Polskiej Fundacji Kulturalnej pt. „Od Wiednia do Londynu“.\*)

Polska Fundacja Kulturalna miała w swych „piątkach wydawniczych“ kilka świetnych wspomnień wojennych, by wymienić z pamięci Lwa Sapiehy „Wojna z wysokości siodła“, Pawła Starzeńskiego „Ostatni Polscy Rycerze“, Ryszarda Kiersnowskiego „Reportaż spod ciemnej gwiazdy“, czy częściowo wojenne „Kolorowi Ludzie“ Zdzisława Czermańskiego.

Mocno kontrowersyjna J. Mackiewicz „Lewa Wolna“ — choć wydana poza piątkami seryjnymi miała już zupełnie odmienny wydźwięk i przypomina czasem nieco książkę Pragłowskiego wprawdzie nie stylem literackim, lecz pewnym nastawieniem. U Mackiewicza są to barwy carskie, z Petersburga czy z białej Moskwy jeszcze się wywodzące. Pragłowski wykazuje — choć tylko początkowe rozdziały temu poświęca — barwy czarno-żółte, cesarskie i królewskie, wiedeńskie.

Rozpoczyna swoje wspomnienia pięknie — migawkami z dzieciństwa, które mogą nawet wzruszyć swoją szczerością; szczęśliwy, po mieczu i po kądzieli jest „bene natus et possessionatus“, jakbyśmy to dziś powiedzieli, ma znakomity „background“. Szczerść Pragłowskiego jest nawet nieco ambarasująca, kiedy przyznaje: „gdy dorosłem, świat obrócił się nagle o 180 stopni, tak, że przestałem do niego pasować“. „Od dziecka niejeden gospodarz witał mnie zdejmując czapkę.“ „Nie przyszło mi do głowy, że ludzie mo-

gą być równi“. Szczerze to napisać, ale należy dodać — naiwnie i trochę kokieteryjnie.

Wolno czarować przez całe życie — ale zasada „tempora mutantur et nos mutamus in illis“ jest zawsze aktualna. Szczególnie w chwilach przełomowych.

Aleksander Pragłowski od dziecka myślał o żołnierce, chciał służyć w wojsku. Dostaje się wreszcie do terezjańskiej Akademii w Wiener Neustadt i pisząc o tym zauważa: „Mądra i szlachetna cesarzowa, otwierając uczelnię...“ i nieco dalej już po ukończeniu tej akademii: „Kiedy 13 października 1914 schodziłem schodami głównymi na plac Marii Teresy, w błyszczącym paradnym mundurze podporucznika ułanów, przyznaję, że byłem dumny i czułem się szczęśliwy...“ Składając staremu cesarzowi przysięgę wierności, postanowiłem spełnić swoją powinność“.

„Mądra i szlachetna cesarzowa Maria Teresa“ przypominała mi inną wypowiedź o niej. Usłyszałem ją w mojej budzie, która nosiła do 1918 roku nazwę: c.k. gimnazjum im. Franciszka Józefa (w wolnej Polsce: Stefana Batorego). Wykładowcą historii i jednym z najmiłszych profesorów moich był Jan Friedberg, znakomity pedagog, kochany przez swoich wychowanków. Autor podręcznika historii polskiej. — Nie byle kto. Capacitas! Profesor Friedberg, szlachcic spiski był w prostej linii — jak mówiono — prawnikiem czy praprawnikiem gen. austriackiego von Solomon Friedberga, który w roku 1772 w wykonaniu 1-szego rozbioru Polski, zajmował na czele wojsk Marii Teresy Lwów i został tam 1-szym dowódcą korpusu austriackiego. Widocznie potomkowie jego przez ożenki spolszczyli się zupełnie.

Gdy mówił o rozbiorach Polski miał lzy w oczach i o cesarzowej mówił z pogardą, jako o współwino-wajczyni. Laską bił w katedrę profesorską i syczał przez zęby — ta stara... podła monarchini miała rzekomo płakać podpisując traktat rozbioru; mówił z taką pasją, że do

dziś jeszcze tkwią w mej pamięci znakomite wykłady jego z dziejów ojczystych.

Friedberg wychował w tym duchu napewno ponad kilkadziesiąt roczników, należących do dwóch pokoleń.

Gdy w grudniu roku 1915 w mundurze — mniej błyszczącym — podporucznika 4. pułku Legionów — odwiedziłem moją budę, będąc na 1-szym urlopie we Lwowie, Friedberg a za nim i inni — wyściskał mnie, wycalaował, czule obejmował. „Jestem dumny, żeś poszedł do Legionów a nie do c.k. armii“ — powiedział mi na ucho. Wtedy trzeba było być ostrożnym. „Politisch ver-dächtig“ — nazywano — takich.

Młodość wychowana w szkołach polskich, w polskim duchu była inna i musiała różnić się od tych, którzy od dziecka niemal w c.k. otoczeniu w szkołach wojskowych austriackich byli wychowywani.

Gdy czytam jednak fascynujące rewelacje ówczesnego młodego podporucznika ułanów Pragłowskiego — przychodzi mi na myśl dlaczego wielu jego rówieśników z tej samej czy sąsiedniej akademii austriackiej — wolało zamiast błyszczącej kariery — uciekać do Legionów, by wymienić choćby Antoniego Trzasko-Durskiego, Kazimierza Schally'ego, Barthel de Weydenthala, Śmigiel-skiego i innych.

Dlaczego to obaj bracia Kleeberg — Franciszek i Juliusz, również absolwenci Akademii, woleli już wtedy starać się i uzyskać przydział do Legionów.

Dla tych wszystkich świat już znacznie wcześniej obrócił się o 180 stopni — o ile w ogóle wymagał takiego zwrotu.

Legioniści też składali przysięgę „staremu cesarzowi“ — z musu, ale bez entuzjazmu — o czym świadczy popularna podówczas — z sierpnia 1914 roku — piosenka:

„austriacki generał  
sam przysięgę odbierał,  
wiarą strasznie się cieszyła,  
ręce, nogi podnosiła,  
a to ci frajda była“.

\*) Aleksander Pragłowski „Od Wiednia do Londynu“. Wspomnienie, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1968.

„GRINGA“. Powieść współczesna z przedmową Wacława Grubińskiego. Londyn, 1968. Nakład Polskiej Fundacji Kulturalnej. Stron 237.

# KOZAKA“

Rozdział o pierwszej wojnie światowej w wojsku austriackim napisany ciekawie, jest sympatyczną, nieco romantyczną relacją uczestnika tych wydarzeń, widzianych z perspektywy pół wieku i tyłu tak odmiennych wydarzeń.

Ułan i kawalerzysta z temperamentu i zamiłowania, marzący zapewne o szarżach i wielkich zagonach kawalerskich znalazł się w okopach, w codziennym niemal wysiłku bojowym, szarzyźnie i nudzie nieraz, czy drobnych powodzeniach przez przeszło cztery lata trwającej wojnie okopowej. Był parokrotnie ranny, kontuzjonowany, walczył dzielnie, awansował i zbierał odznaczenia. Jest stuprocentowym przeciwwstawieniem wszystkich postaci szwejkowskich i nie ma nic wspólnego z nastrojem żołnierzy ze znanej po 1-ej wojnie powieści Remarque'a „Na zachodzie bez zmian“. — Wierzy w swoją gwiazdę, w swoje przeznaczenie. Morale jego jest zawsze znakomite.

I chyba pewną tęsknotę czy nawet żal do niespełnionych marzeń kawalerzysty znajdujemy w krótkim zdaniu: „Weszliśmy w skład 7-ej armii austriackiej dowodzonej przez gen. Pflanzera-Baltina, o którym mówiono, że nauczył kawalerię ginąć.“ Przglowski myśli tu z żalem o spieszzonej kawalerii, ginącej w walkach okopowych.

Pflanzera-Baltin był generałem, dobrze znanym również legionistom. Nie znosił ich, nienawidził, miał istny legiono-wstręt.

Pflanzera-Baltinie,  
Jelemożny panie,  
daleś nam rozetki,  
uszałek się na nie“.

śpiewali mu legionieści, gdy ten generał wystąpił z wnioskiem do naczelnej komendy austriackiej o odebranie legionistom gwiazdek i danie im rozetek — odznaki urzędników wojskowych.

Legionieści jakoś przeżyli ten despekt, zachowali gwiazdki i swoje wężyki, wytrwali — skoro już po kryzysie, odmowie przysięgi, Szczy-

piórnice i po przymusowym wcieleniu poddanych austriackich do c.k. armii — generał Przglowski notuje, obejmując szwadron w swoim pułku: „W jego składzie był pluton legionistów, którym przewodził pan Górecki w stopniu wachmistrza. Muszę podkreślić, że legionieści zachowywali się bardzo przyzwoicie nie nadużywając autonomii, którą im zapewniłem“.

Nie wiem jaka to była „autonomia“, ale bardzo chcę pochwalić autora za ten legionowy sentyment; mile uderza, gdy czyta się jego dalsze zastrzeżenia.

Koniec wojny zastaje „pana oberlejtenta“ na urlopie u rodziców w majątku pod Dobromilem. I oto jak pisze: „Pod koniec października miałem wracać do grupy. Gdy pojawiłem się w Sanoku, obiegły mnie Żydki, prawiąc: — Czy pan porucznik nie ma jeszcze dosyć wojny? Austria kończy się; teraz będzie wojsko polskie, zrobią pana zaraz „Obersztem“. Czy panu źle u tatusia?“

Trzeba przyznać autorowi, że proctwa Żydków były trafne. Przglowski został „Obersztem“ i to nawet dyplomowanym „Generalstaboberstem“ — przy wyrównaniu stopni dla uczczenia Tysiąclecia — generałem, choć niestety, „in partibus infidelium“.

Ale to chyba jeden z nielicznych wypadków, gdy w ten sposób dowiadzano się o nadchodzącej i powstającej Polsce. Jeżeli już nie kryzys przysięgowy i aresztowanie Piłsudskiego z Sosnkowskim w Magdeburgu, jeżeli już nie Traktat Brzeski i przejście 2 Brygady pod Rarańczą, Kaniów, czy dzieje korpusów wschodnich — to w każdym razie nastroje społeczeństwa polskiego zapowiadać musiały każdemu upadek Austrii i powstanie państwa polskiego.

To więc chyba tylko kokieteryjnie napisana scenka, może nawet doskonała dla reżysera filmowego, by uzasadnić końcowe zdanie tego rozdziału: „Zmieniając austriacki bączek na naszego orła z koroną, stałem się formalnie Polakiem...“

Zatrzymać się musiałem nieco dłużej nad tym pierwszym wprowadzającym rozdziałem tej uroczej nawet nieraz i tak romantycznej minisagi Przglowskiego, gdyż charakte-

ryzuje doskonale jego postawę, jego nastawienia, jak i blaski i cienie następnych rozdziałów, a szczególnie części drugiej zatytułowanej „W wolnej Polsce“, dzieje wydarzeń i własnych przeżyć w ciągu całego dwudziestolecia, od walk na froncie ukraińskim 1919 r. do obrony Warszawy w roku 1939.

Rozdział 1-szy tej części o kampanii ukraińskiej nie zawiera żadnych rewelacji ani nawet żadnych, nieznanymi epizodów, które byłyby ciekawym przyczynkiem historycznym. Z wyjątkiem może jednego, że autor był we Lwowie w chwili rozpoczęcia walk i zaczątków obrony tego zawsze wiernego Polsce miasta i nie wziął w niej udziału. Jakby powiedziano we Lwowie „to nie pasują mi“ do sylwetki tego tak pełnego temperamentu, wojowniczego i jurnego młodego oficera. Autor nie należy przecie do tego pokolenia starszych oficerów c.k. armii, którzy jak np. późniejszy gen. Malczewski wywiesili na drzwiach pokoju hotelowego obok nazwiska i stopnia: „Generlstaboberst Ritter von Skarbak-Malczewski“ — dopisek „neutral“.

Wyszędzszy ze Lwowa porucznik Przglowski przyłącza się w swoich rodzinnych stronach do tworzącej się kompanii sanockiej.

Może jednak udział jego w obronie Lwowa, obok Maczka i Abrahama, kpt. Mączyńskiego czy de Laveaux byłby i z korzyścią dla tych mozolnych początków jak i blaskiem w pięknej karierze tego młodego oficera. Widocznie jednak los chciał inaczej i trzeba było wpięrw urządzić bal w Dobromilu dla uczczenia powstania Polski.

Generał Przglowski pisząc już w sędziwym wieku swoje wrażenia z kampanii ukraińskiej kończy je następująco: „Polityka wywróciła koziołka i rozpoczął się okres politycznej współpracy polsko-ukraińskiej, streszczającej się w dwóch nazwiskach: Piłsudski — Petlura. Skromnie jak na młodego porucznika ułanów, ale z perspektywy 50 lat jak i rozumowania i wycucia strategicznego położenia Polski myśl polityczną organizującego się państwa wydaje się mało zrozumiała dla tego autora. Gen. Tadeusz Kutrzeba, choć tak bardzo nielubiany przez

(Dokończenie na str. 30)

gen. Pragłowskiemu ujął zagadnienia tego okresu fachowo w swej książce „Wyprawa Ukraińska“. I wielu innych o tym pisał.

Wszystkie dalsze rozdziały tej polskiej części wspomnień gen. Pragłowskiemu są niezmiernie ciekawe, choć grzeszą jak i cała książka bardzo jednostronnymi i często niesprawdliwymi osądami oraz zbyt jaskrawym podkreśleniem swoich osobistych zasług.

„Pojedynek z Budiennym“ i „Dowództwo 17 pułku ułanów“ są narysowane z największą pasją pisarską i są najbardziej emocjonujące dla czytelnika. Wojskową wartość tych szkiców może dobrze osądzić jedynie fachowiec i to w oparciu o istniejącą już bogatą dokumentację i literaturę tego okresu. Walka z Budiennym, gdy był szefem sztabu dywizji, a następnie grupy kawalerii pod dowództwem generała Rómmla przynosi mu — prócz orderu Virtuti Militari, jednego z najwcześniejszych odznaczeń na polu walki przez Wodza Naczelnego — dowcipne przydomkowanie „austriackiego kozaka“. Czytając wspomnienia „Od Wiednia do Londynu“ odnosi się wrażenie, że autor został nie tylko trafnie zdefiniowany w danej chwili, ale pozostał nieco tym kozakiem przez całe życie, a w każdym razie w wielu swych osądach o ludziach, zdarzeniach, a nawet o ogólnej sytuacji.

Możnaby sądzić, że pisząc swoje wspomnienia z talentem i swadą autor, wybitny a może dodać należy, jeden z najwybitniejszych polskich sztabowców spojrzy na wydarzenia, których był świadkiem i na ludzi, którzy byli ich autorami czy uczestnikami ze zrównoważonym spokojem i z dalekiej perspektywy.

Pragłowski nie lubi legionistów. To mu wolno. Trudno jednak zrozumieć, czytając jego wywody, że do dnia dzisiejszego nie rozumie znaczenia tego co nazywa się „czynem zbrojnym“, tej „szabli polskiej“, której nie mogło zabraknąć w chwili wybuchu wojny między zaborcami.

Kariera gen. Pragłowskiemu świadczy, że w stosunku do legionistów nie był tak bardzo pokrzywdzony. Sam pisze, że został pułkownikiem przed swoim kolegą z pułku piechoty w Lesznie, Stefanem Roweckim. Awanse zależały od zgodnej opinii inspektorów armii.

„Ledwo Polska powstała już legioniści zaczęli tworzyć swoją legendę“ — pisze autor. Wprost przeciwnie — to legenda wzięła na swe skrzydła tych pierwszych po 1863 roku żołnierzy polskich, tych „z Pierwszej Kadrowej“ i tych z „siódemki Beliny“. Tych wszystkich legionistów sformowanych w 3 brygadach. Równanie szło na nich jak widział to Piłsudski, zwracając się do nich, jako do „czołowej kolumny wojska polskiego“.

O wojsku polskim, a nie o legionistach — myślał — pobierając samodzielnie tak odpowiedzialną decyzję, posyłając ich w bój w imieniu Polski, wypowiadając wojnę carskiej Rosji wbrew Austrii i Niemcom, po których stronie musiał chwilowo walczyć.

Trudno powiedzieć co by było, gdyby Piłsudskiemu nie udało się, choć w tym rozmiarze, w którym mógł to przeprowadzić w ówczesnych stosunkach politycznych — ten samodzielny czyn zbrojny.

Stanisław Mackiewicz pisząc swą historię Polski już w Londynie określił to: „Rządziłaby austriacka „Kriegsschule“. To byłaby katastrofa“.

By wyjaśnić choć nieco zarzuty autora, gdy pisze: „Po przewrocie majowym... Usunięto bez cienia racji i potrzeby wielu starszych zawodowych oficerów pochodzących z armii zaborczych, a głównie z armii austriackiej“ — muszę przytoczyć autentyczny wypadek z tego okresu. Gdy gen. Rydz-Śmigły odwołany został z Wilna tuż po wypadkach majowych do Warszawy marszałek Piłsudski chciał powierzyć stanowisko inspektora armii w Wilnie nie legioniście. Wybór jego padł na generała Wacława Fara, który był wówczas dowódcą korpusu w Przemyślu. Gen. Fara miał dobrą kartę w wojnie światowej jak i polskiej i opinię rozumnego dowódcy, z ukończoną austriacką szkołą wojenną. Gen. Fara zameldował, że był przeciwko Marszałkowi w wypadkach majowych, na co otrzymał odpowiedź, że to nie ma znaczenia. Prosił o parę tygodni urlopu, gdyż musi załatwić pilne sprawy osobiste we Wiedniu. Marszałek niechętnie zgodził się na ten urlop, ale dopiero po formalnym objęciu inspektoratu przez niego.

Gen. Fara, uszczęśliwiony tą nie-

spodziewaną nominacją opuścił Belweder i z miejsca zamówił sobie u Watsona w Warszawie podwójne bilety wizytowe. Normalne w języku polskim i dodatkowo, które brzmiały: Venceslaw Fara, Generalleutnant der polnischen Armee, Armees-Inspekteur in Vilna“.

Składając wizyty różnym dygnitarzom miejscowym przez własną czy adiutanta pomyłkę zostawiał bilety niemieckie. Dygnitarze nie wiedzieli o co chodzi i na jakim są świecie.

Marszałek nie chciał więcej wiedzieć generała — „wszystko mógłbym zrozumieć, ale ‘Wilna’ na karcie wizytowej polskiego generała nie wybaczę“ — miał powiedzieć. Do Wiednia generał pojechał już w stanie spoczynku. Wraz z nim przeniesiono wtedy w stan spoczynku szeregu wyższych dowódców, o których wiadano, że byli dalej austriakami a zmiana bączka z literą cesarską na orła w koronie była tylko stroną formalną. W domu wielu z nich używało jeszcze języka niemieckiego, bo panie nie nauczyły się mówić po polsku, a i oni sami myśleli nadal kategoriami akademii austriackiej a przede wszystkim „Kriegsschule“.

Naturalnie nie wszyscy ze służby austriackiej; wielu z nich oddało swą wiedzę fachową choć w obcych szkołach nabytą, swe doświadczenie i zdolności organizującym się polskim siłom zbrojnym.

Opierano się o skromną polską tradycję i doświadczenia we współpracy z Ecole de Guerre Superieur.

Gdy autor tak bardzo uskarża się na prześladowanie generałów i wyższych oficerów ze służby austriackiej — to warto przypomnieć, że stary Marszałek najwyższemu cenił wśród inspektorów armii gen. Jana Romera i dawał temu nieraz wyraz. O Romerze wiadano, że jako były oficer austriackiego sztabu generalnego zawsze podkreślał swą polskość. Wybitnie zdolny i energiczny był nielubiany, ale przez austriackiego szefa sztabu generalnego Conrad von Hoetzendorfa, który dwukrotnie nie dopuszczał go do służby w sztabie generalnym — jak mi sam to opowiadał.

Gen. Rybaka, którego lojalne stanowisko jako oficera wywiadu austriackiego (K. Stelle) było mu znane uważał za wybitnego genera-



ła i powierzył mu stanowisko inspektora armii. Gen. Rybak uległ — jak mówiono — na skutek ciężkiej choroby w młodości nabytej atakowi choroby psychicznej i tylko dlatego wyszedł ze służby.

Trudno zajmować się wszystkimi, przykro to inaczej nazwać, plotkami czy rewelacjami autora, przytaczanymi raczej na podbudowanie swych własnych tez obrony. Bo do historii wojny polskiej i kampanii wrześniowej b. austriacki Generalstäbler — ceniony w Polsce Tadeusz Kutrzeba wszedł jako dowódca bitwy pod Kutnem, a autor — jako współwinny „spółki Rómmel-Pragłowski“ za zbyt chyba daleki odskok z Łodzi do Mszczonowa.

Jak sam stwierdza autor „3 dywizje zostaną odcięte od naszego rozkazodawstwa...“ „gen. Thommé objął nad nimi samorzutnie dowództwo i wyprowadził je szczęśliwie na Modlin“.

Nie piszę recenzji wojskowej — znajdują się inni bardziej do tego powołani, jedną uwagę pragnąłbym tylko dodać. Za sztab odpowiedzialny jest jego szef — jak wpajał w nas w wyższej szkole wojennej płk. Faury. Jak szkoda, że ta słuszna zasada nie mogła być przeprowadzona w kampanii wrześniowej przez szefa sztabu armii „Łódź“.

Ale o tym ostatnie słowo ma historia, opierając się na faktach i dokumentacji. Właściwie już się wypowiedziała w kilku tomach poświęconych kampanii wrześniowej.

Wrażenia moje o wspomnieniach generała Pragłowskiego „Od Wiednia do Londynu“ chciałbym zakończyć raczej pogodną nutą. Nie można oddzielać autora od jego pracy. Gen. Pragłowski jest człowiekiem pogodnym, dowcipnym, bardzo uprzejmym i ogólnie lubianym. Towarzysko chyba czaruś. Nie wolno mi dlatego pominąć jednej nuty, która przebija przez całą jego książkę, wije się przez wszystkie rozdziały, na całej przestrzeni życia od Wiednia do Londynu.

Jego stosunek do kobiety, obojętnie czy to jest to chwilowy flirt i krótkotrwała miłość czy też głębsze uczucie, kończące się mariażem jest pełen prawdziwej rycerskości.

Wszystkie zebrane w bogatym erotycznie życiu wspominki i wspomnienia uczuć, przechowywane upo-

H. ZURKOWSKA

B.D.I.C

## NIEDŹWIEDŹ A SPRAWA POLSKA

**N**OWE PODEJŚCIE do dzikiego stworzenia, przeciwne zesłowiecznemu antropomorfizmowi, potrzebne jest w stosunku do zwierząt współżyjących z człowiekiem. Takie jest twierdzenie osoby dobrze w tej materii poinformowanej — dyrektora rezerwatu we Wschodniej Afryce, lorda Williama Percy. Sprawdziło się to założenie na przykładzie i rezultatach, jakie osiągnęło małżeństwo Joy i George Adamson w stosunku do lwicy Elsie, która współżyła z nimi na wolnej stopie przez 3 lata. To nowe podejście polega na zrozumieniu zachowania się dzikiego zwierzęcia, jego naturalnych instynktów i zwyczajów oraz dostosowania się do jego wymagań. Nie ma w nim chęci podporządkowania sobie zwierzęcia ani przypisywania mu inteligencji i sentymentów ludzkich. Prościej wyraża się to: przyjmij małpę za małpę (jak w popularnym „Dactari“ telewizyjnym) a niedźwiedzia — za niedźwiedzia.

Żołnierz, imieniem Piotr, nie uczył się tej metody, ale wyczuł instynktownie jej skuteczność, kiedy dostał pod swą opiekę małego niedźwiadka z gór północnej Persji. Rosnąc w sile i wadze, oraz porastając w miłość swego otoczenia zwierzątk ten — nazwany Wojtkiem — został następnie maskotą i towarzyszem 22-ej Kompanii Zaopatrywania Artylerii II Polskiego Korpusu w 1941-42 r. Dzieje jego wędrówek wraz ze swym oddziałem macierzystym poprzez

minki czy spóźnione westchnienia lub żale świadczą o jego prawdziwej rycerskości. Może nawet na myśl przychodzi legendarny „Ritter de Lorges“ z ballady Schillera z odmianną, że Pragłowski nie rzucał rękawiczki, ale z całym wrodzonym wdziękiem podawał ją swej bogdanice. I wierzę, że zawsze w sercu swej wybranej zwyciężał.

Skoro koń został wyparty niemal z tego świata, ale została kobieta chciałoby się zawołać pod adresem młodych: Czytajcie Pragłowskiego, to ostatni — co tak pięknie o miłości pisać umie.

Persję, Północną Afrykę, Sycylię i Włochy, aż do Szkocji są tematem książki W.A. Lasockiego pt. „Wojtek spod Monte Cassino“.

Opiekun-Piotr miał ułatwione zadanie, stosując humanitarne nowoczesne metody w wychowaniu Wojtka, gdyż mały niedźwiadek miał bardzo łagodny charakter i żadne ostre i bolesne chwytły w jego tresurze nie były potrzebne. Okazywana mu powszechnie serdeczność i smakołyki, na które zawsze był łasy — całkowicie wystarczały. Był on rozmiłowany w mocowaniu się z żołnierzami, w kąpeli, we współżyciu z ludźmi. Nigdy w ciągu swego dość długiego życia (23 lata) nikogo nie skrzywdził, a nawet na zaczepki (małpki-Kaśki, psa, pszczoł) odpowiadał sromotną ucieczką. Ale przede wszystkim zaletą jego było, że — podobnie jak i jego znakomita poprzedniczka w Armii Polskiej Baśka Murmańska, przydzielona do baonu W.P. na Murmaniu z nominacją na „Córke regimentu“ — przechodził z żołnierzem polskim wszystkie jego trudy wojenne i był dla niego rozrywką i pociechą. Wojtek, jak i Baśka, doznał rozmaitych zaszczytów po zakończeniu wojny. Między innymi, został dożywotnim członkiem Tow. Polsko-Szkockiego w Berwick-on-Tweed, oraz był adoptowany przez szkocką szkołę „Dollan Academy“, kiedy został umieszczony przez swój oddział macierzysty w Zoo edynburskim, gdzie przebywał od r. 1947 aż do śmierci w 1963 r.

Mała rzeźba Wojtka, dźwigającego wielki pocisk artyleryjski zdobi dziś Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Rzeczą dość zastanawiającą jest ten kult niedźwiedzi w naszym kraju, co wynika może z tego, że zwierzę ten był kiedyś znacznie częściej spotykanym stworzeniem niż jest obecnie. Chyba utrzymał się dziś jedynie w górach. W dawnych czasach wędrowały po kraju z Misiem, trzymanym na łańcuchu liczne zastępy Cyganów dających po wsiach występy. A na dworach możnowład-

(Dokończenie na str. 32)

czych (jak np. u księcia Radziwiłła „Panie kochanku“) urządzano pokazy zapasów i tańców niedźwiedzich. Literatura nasza — choć w mniejszym stopniu niż angielska, w swej obszernej tematyce zwierzęcej — posiada również książki o niedźwiedziach, bądź żywych, jak „Baśka Murmańska“ E. Małaczewskiego, bądź w formie zabawki, jak „Bohaterki Miś“ Br. Ostrowskiej. Ten pluszowy niedźwiadek (odpowiednik Kubusia-Puchatka A. A. Milne'a) jest jakby jednym z imaginowanych poprzedników Wojtka, gdyż odbywa — w rękach czy walizkach swych właścicieli — przymusową wędrówkę po całym kraju, wygnany ze Lwowa przez zawieruchę wojenną 1920 roku. Gubiony, przywłaszczany i tracony ponownie, bierze udział w bitwach i ucieczkach, aby wreszcie cudownym trafem znaleźć się powtórnie w rękach swych dawnych właścicieli.

Książka W.A. Lasockiego — jest historyczną kontynuacją opowieści o żołnierzu i zwierzęciu, zapoczątkowaną w „Baśce Murmańskiej“.

W książce swej autor ograniczył się do bardzo starannego przedstawienia dziejów Wojtka. Uważając widocznie, że są one dostatecznie porywające, podawał je wiernie, w formie krótkiej relacji, bez osobistego komentarza. Natomiast, aby ułatwić zrozumienie sytuacji młodocianemu czytelnikowi, do którego przede wszystkim ta książka się zwraca, autor dołączył osobno bardzo ściśle informacje dotyczące sytuacji politycznej oraz racji przebywania żołnierza polskiego i jego walk w obcym kraju.

Poczucie konieczności umieszczenia tych wyjaśnień sprawiło, że był on zmuszony ograniczyć się raczej do podawania faktów, niż ilustrowania ich własnym komentarzem. Stanowi ta treściwość pewnego rodzaju atrakcję dla młodego czytelnika, który dowiaduje się historycznych faktów, podanych krótko i zrozumiale. Tym cenniejszy jest wkład I. Ludwigowej, która swymi licznymi rysunkami surowość tych faktów łagodzi i dodaje im wiele anegdotycznej soczystości. Dzięki tym osiągnięciom autora i rysowniczkę „Wojtek“ śmiało może wytrzymać konkurencję nawet angielską w tej dziedzinie.

H. Żurkowska

KLARA EVANS

## „ANIA” I WSZYSTKO

CZŁOWIEK rodzi się z umiłowaniem książki tak jak się rodzi z dobrym słuchem, czy zdrowym żołądkiem. Pasja do słowa pisanego jest od niego niezależna i rzadko kto potrafi „wyrobić“ w sobie potrzebę czytania. Wykształcenie i pochodzenie również niezawsze wytłumaczają miłość lub obojętność dla książki. Jest to po prostu cecha, wrodzona jak każda inna cecha duchowa czy fizyczna.

Osobiście świat książki dzielę na dwie odrębne kategorie: te, które nas wychowywały i te, z którymi wychowaliśmy się. Sądzę, że różnica jest zasadnicza. Dla przykładu: pokolenia były wychowywane w miłości i poświęceniu dla ojczyzny przez sienkiewiczowską „Trylogię“ (już mniej przez „Krzyżaków“, gdzie, według mnie, moment zemsty, góruje nad cnotami innych bohaterów). Książki natomiast, z którymi wychowaliśmy się jak z mądrzejszym od nas rodzeństwem — to przeważnie zbieranina słowa pisanego, która w danym momencie naszego rozwoju pozostawiła na nas trwałe ślady. Książki, z którymi wychowaliśmy się rzadko bywały dydaktyczne. Zawierały one w sobie raczej element naszej własnej młodej tęsknoty do niepoznanego jeszcze świata i nieraz zupełnie niezamierzenie — uczyły nas jego piękna.

Ponieważ w naszym europejskim piśmiennictwie, może z racji samej historii tego kontynentu, jest łatwiej o Trylogię, Orlanda Szalonego czy nawet Doktora Fausta, niż na półkuli zachodniej, książki, z którymi obcowaliśmy w dzieciństwie, a które z tej właśnie zachodniej półkuli często ciągną swój rodowód (przykładem „Przygody Tomka Sawyera“ — Marka Twain'a) — staną się może w końcowym podsumowaniu ważniejsze od rodzimych eposów, wychowujących nas na tych właśnie Europejczyków. Jeżeli zaś chodzi o własne podwórko, to skłonna jestem podejrzewać, że o ile współcześni Skrzetuscy dobrze się zasłużyli ojczyźnie pod Kutnem czy na Westerplatte, to mieliśmy za wielu

Judymów, i to w okresie, kiedy należało budować z optymizmem, a nie tylko cierpieć za miliony.

Pokolenie spod Bezdan nie znało smaku cynizmu, tak samo jak go nie znali modlińscy podchorążowie w 1939-tym. W obu tych pokoleniach tkwiła jak cecha wrodzona, sienkiewiczowska **potrzeba** miłości ojczyzny. I obojętne jest to, iż może Sienkiewicz rzeczywiście „fałszował historię“ jak chciał niegdyś Olgierd Górka w serii artykułów, nie przeczuwających nadciągającego września.

Natomiast pokolenie, które na późniejszych dziełach Żeromskiego uczyć się miało odpowiedzialności za posiadanie wolnej ojczyzny, było — dzięki autorowi — już bardziej cyniczne. Szklane domy ojca Cezarego Baryki były dla wielu z nas jedynie „szklanymi domami“, nie mogły wzruszać. Szkło, nawet tak przeźroczyste — jak socjalizm Żeromskiego — nie jest materiałem bohaterskim. Po wielu latach obowiązków zachwyty, dzisiaj czytane „Przedwiośnie“ jest literaturą demagogiczną i dla wielu całkowicie obojętną.

Tyle o książkach, które nas miały wychowywać, lepiej lub gorzej.

Te drugie książki, z którymi wzrastaliśmy bez odpowiedzialności za to czego nas uczyły, były to przeważnie historie, z którymi współżyliśmy w symbiozie i całkowitej harmonii. Nic w nich nie odstręczało nas ciężarem gatunkowym dla naszej młodości. Był w nich po prostu zawarty nasz własny głód życia, czekający za progiem pierwszych dziecięcych czy młodocianych doświadczeń. I to wystarczało, aby je kochać aż po wiek dojrzały i późniejszy.

W żeńskim dzieciństwie mojego pokolenia tomy niejakkiej bodajże pani Wiśniowskiej, zapewne Rosjanki, o której dzisiaj nie wspomni nam już żadna literacka encyklopedia, zaspokajały głód romantyzmu. Śmiem twierdzić, że jej „Nina, księżniczka Dżawadze“ była jak gdyby

# INNE

pogrobowcem Oleńki Bilewiczówny, czy Baśki Wołodyjowskiej, bez ich jak najpozytywniejszego zresztą przymusu moralnego.

Pokolenie chłopców, przeszedłszy przez ojczyzniane szczepienie za pomocą „Trylogii“, którego skutki miało tak niedługo i z taką dumą ponosić w z góry przegranych bitwach, partyzantkach, obozach i niewoli — przeżywało swój sen o męskiej chwale przy pomocy opowieści Mayne Reida, czy Fennimore Coopera, autorów, znowu, jak Mark Twain — spoza brzemiennej w historię Europy. Od czasu do czasu do bohaterkich starć z czerwonoskórymi doskakiwał poczciwy Juliusz Verne, czy nasz Żuławski („Na srebrnym globie“ wartoby przeczytać właśnie dzisiaj od nowa) — aby nauczyć młode pokolenie ludzkiej potrzeby odkryć, oraz dawania sobie rady w każdej sytuacji życiowej.

Na progu pierwszej młodości znowu, imaginacją mojego pokolenia zawładnęła napewno twarda i bezwzględna Scarlett O'Hara, bohaterka „Przeminęło z wiatrem“. Kto wiedział, że jej podobne dziewczęta, równie jak ona bezwzględna, jeżeli chodzi o umiłowanie — transcendentalne nieomal — własnego gniazda, będą w krótki czas po przeczytaniu tej niezwyklej powieści (w Polsce ukazała się w r. 1938 w znakomitym tłumaczeniu Celine Wieniewskiej) — przenosić broń i gazetki, drukowane po warszawskich piwnicach, umierać w Oświęcimiu, Majdanku czy Ravensbrücku, a przed tym jeszcze szyć, tak samo jak Scarlett — eleganckie sukienki sprzed wojennych kolorowych zasłon do okna?

Poza tym, Scarlett O'Hara — i tu może wbrew pedagogom i moralistom dochodzimy do najistotniejszego sekretu książek nie wychowujących i niepomnianych — była potencjalnie każdą z tych młodych kobiet, które chłonęły losy bohaterów książki Margaret Mitchell z podświadomą i niemal freudowską zazdrością. Ten sam zły czar kobietę jednocześnie głęboko konwencjo-

nalnej i głęboko animalnej emanował już przedtem z innych postaci, takich jak flaubertowska Emma Bovary, czy ledwo co zaznaczona w sztuce i literaturze europejskiej piękna, nieznośna i utalentowana Maria Baszkirczew, malarka, którą — jak chcieli jej biografowie z lat trzydziestych — ovladnęła nie tylko sercem, ale dla snów małowieszczkańskich odbiorczyń było o wiele ważniejsze — namiętnością owego „Toreau Triste“ francuskiej literatury — Guy de Maupassanta.

W wiele lat później, dokładnie w zeszłym roku, ów słynny 19-towieczny „romans“ został brutalnie odbrązowiony. Maria Baszkirczew bowiem, nigdy nie spotkała Maupassanta. Pisywała do niego, jedynie zabawne i kapryśne listy, na które autor „Boule de Suif“ odpowiadał przez pewien czas. W tym samym okresie Maria śniła swój niedojrzały, pensjonarski sen o małżeństwie z widywanym z daleka na wyścigach w Longchamps dukiem of Hamilton. Przeczytałam jej biografię w odpowiedniej scenerii — bo w ciszy hiszpańskiej pinety, gdzie każdy cień w popołudniowym słońcu i każda jaszczurka, romansująca w nieznośnym upale, skłaniały do rozważań czym jest naprawdę uczucie tzw. „wiecznej miłości“ — biologią, histerią, czy też jednak, stanem naturalnym dla wybranych?

W książkach, które nie wychowują w żadnej z cnót, prócz tej jednej: umiłowania słowa pisanego, które jakże często, uczą nas samych o nas samych w pewnych sprzyjających, chociaż przeważnie rzadkich okolicznościach życiowych, literackie postaci Bohuna i Kmicica, Scarlett O'Hara i skromnej „Ani z Zielonego Wzgórza“ pozostaną dla wielu z nas tym, co w subiektywnym przemyśleniu nazwałam „postaciami z własnej tęsknoty“. Rozpiętość jest, jak widzimy, olbrzymia. Ale potencjonalne możliwości wszystkich tych postaci tkwią w nas jak błogosławiona drzazga z krzyża życia i, niestety, nie od nas zależy, kim w tych „czasach pogardy“ w jakich żyjemy — moglibyśmy być. George Sand, czy Gauguin mieli w tej mierze dużo większe możliwości.

Ta długa dysertacja prowadzi do literackiego tematu, o którym chciałam napisać krótko, a treściwie. Oto

bowiem na kanadyjskim szlaku, w lokalnej bibliotece — znalazłam biografię słynnej kanadyjskiej autorki cyklu dziewczęcych opowieści o „Ani z Zielonego Wzgórza“, „Ani z Wyspy“ czy „Ani na uniwersytecie“.

Z „Anią“ spotkałam się po raz pierwszy w ósmym roku życia w Warszawie. Przyjaźń nasza okazała się tak cenna i trwała, iż nie tylko przekazałam mój syntement do „Ani“ mojej własnej córce, ale do dzisiaj, „wstydliwie, powracam do niej sama dla „pokrępienia“ dojrzałego już ducha po lekturze niektórych Sam Bellowsów, wszystkich Genetów, a z rodzimej gleby — Gombrowiczów i Czerniawskich.

Tę rudowłosą Anię-sierotę, która opowiadała o sobie starej sąsiadce pani Linde, że „fizycznie czuje się doskonale, ale moralnie jest bardzo zmęczona...“ (w 10-tym roku życia! Czyż nie była ona prekursorką nas wszystkich? I czy nie stąd także płynie jej wiecznie świeża atrakcja dla czytelnika?) — poznałam w ciężkim bronchicie. Mama przyniosła mi książkę „na pocieszenie“, jeszcze ciepłą spod prasy Gebethnera i Wolfa, gdzie ojciec nie tylko miał rabat, ale i wgląd we wszystkie nowości — dorosłe i dziecięce.

Tłumaczenie książki było dobre. Dobre dlatego, że transponowało na polski krajobraz znajomej dzieciom wsi jak, w moim wypadku, mazurskiej, czy nowogrodzkiej — krajobraz dalekiej Kanady. Oryginalna nazwa „Green Gables“, nieprzetłumaczalna na „Zielone Dachówki“ oddana została przez niezapamiętanego już tłumacza jako „Zielone Wzgórze“.

I tak zaczęłyśmy wzrastać, Ania i ja, we wspólnocie marzeń, możliwości i niemożliwości życia w wyobraźni, życiu z naturą, oraz współżyciu z ludźmi, oglądanymi przez nasz własny wymiar imaginacji.

Kanadyjskie więc „Green Gables“ spełniły swoje zadanie w stosunku do dziewcząt środkowo-europejskich, dając im poznać tę prawdę, że człowiek jest wszędzie taki sam. Tak jakby chociaż postać przyjaciółki Ani — Diany Wright, która „nie miała wyobraźni“. Odpowiednik jej spotkałam w mojej klasie na warszawskiej pensji. Zginęła w Oświęcimiu. Wierzę całym sercem, że wy-

(Dokończenie na str. 34)

obrażnia zawiódła ją nawet i tam w godzinie śmierci.

O samej autorce, Lucy Maud Montgomery dowiedziałam się w jej ojczyźnie raczej niewiele. Urodzona w roku 1874, zmarła osamotniona i zgorzkniała w roku 1942.

Osierocona przez matkę, nie wychowana przez ojca, spędziła dzieciństwo na farmie dziadków, na owym właśnie „Zielonym Wzgórzu“ na Wyspie św. Edwarda. Maryla i Mateusz z sagi o Ani są więc postaciami prawdziwymi, tak samo jak prawdziwy był Gilbert Blyth, syn lekarza z miasteczka Avonlea i sam późniejszy lekarz — mąż Ani, w kilku ostatnich tomach zielonogórskiej epopei. Ania bowiem, tak jak i jej autorka, wychodzi za mąż stosunkowo późno. Więc nie dla nowych tematów małżeństwo Ani z doktorem Blyth odsuwało się z jednego tomu na następny, ale ponieważ taka była prawda Lucy-Maud. Lekarz z książki był w istocie rzeczą pastorem i nie miał — jak chciała matczyńska tęsknota autorki, dziesięciorga dzieci (jak Ania), ale jednego syna.

Zresztą nie jest to ważne w jakim stopniu fabuła książek L.M. Montgomery podobna jest jej własnemu życiu. Ważne jest zupełnie coś innego: co z autorki i jej książek wynioskowało współczesne pisarstwo kanadyjskie.

Oto co pisze Elizabeth Waterston, podobno jedna z czołowych publicystek kanadyjskich:

„Współczesna psychologia tłumaczy nam ukryte siły pisarstwa L.M. Montgomery. Jej bohaterki nie mają matek. Mają zamiast ciotki, czy babki, które można spokojnie nie nawidzieć... Młode dziewczęta ciężko znoszą pożyte z własnymi matkami, rozdarte mieszanymi w stosunku do nich uczuciami: rywalizacji, zależności, nienawiści i podziwu. Wszystkie te uczucia są głęboko zakotwiczone w podświadomości. W wieku dziewczęcym spotykamy się z natężeniem miłości do ojca. Jest to uczucie, które z biegiem czasu skieruje się na inne tory, lub z którego dziewczyna zapewne wyrośnie. Niemniej jednak miłość do ojca jest stanem, związanym z przejściem od homoseksualnych do heteroseksualnych przywiązań...“

Odkładam ze smutkiem esej pani

Waterston. Epoka nasza widocznie nie nadaje się dla spraw, które przez setki lat były sprawami prostymi: ręce matki w cieniach nocnych nad łóżkiem dziecka. Ręce matki roztrącające te cienie. Dzisiaj, to tylko ręce współzwodniczkę w miłości do ojca, tego pana z dyspepsją i potencjalnym zawałem, który urodził się wraz z epoką: już nie jest ojcem-bohaterem, ojcem-wyrocznia, jest tylko „podświadomym przedstawicielem naszych homoseksualnych pragnień“.

Czekoladowe pastylki, przywiezione, jak zapewne czytelniczki pamiętają, przez Mateusza w darze Ani z targu w Białych Piaskach, zmieniły się dzisiaj w coca-colę i lody, spożywane ad libitum przez homoseksualne, psychoanalizowane i zgola rozbestwione dzieci. Cóż w tym dziwnego, jeżeli nawet miłość matki zostaje im w jakiś sposób dochodzący do ich świadomości — odebrana?

A na zielono pomalowane rude włosy Ani? „Whom was she kidding, pal? — Przecież moja mamakonkurentka zmienia kolor swoich włosów raz na tydzień...“

Ale nasze, przedwojenne, wedlowskie czekoladki, połykane wraz ze łzami podczas czytania o śmierci pana Wołodyjowskiego, czy niepowodzeń osieroconej Ani, nie były na miarę freudowskich, czy genetycznych „utajonych słodyczy“. Smakowały dobrą czekoladą. Tak jak i uśmiech matki miał w sobie smak rzeczy najważniejszych, tych, które wspomnieniem i wdzięcznością przenosi się nawet poza jej grób, aby pocieszała nas dalej. I właśnie tego, i niczego innego, uczyły nas książek Lucy M. Montgomery.

Klara Evans

## Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6  
„MATKI I ŻONY“ 18/6  
„MIĘDZY LONDYNEM  
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,

London, S.W.7.

i wszystkie kioski i księgarnie polskie

Po dwóch bez mała latach przerwy powinienem zacząć te „plotki“ od jakiejś alegoryjki na temat syna marnotrawnego. Lub napisać coś na temat starej szkapy co to uprzykrzywszy sobie własną łączkę wraca do stajni i staje posłusznie przy żłobie.

Ale z tym żłobem to chyba jakoś nieładnie... Bo niby co za para? Żłób, zwykły koński żłób, w który syją sieczkę z owsem (u nas, w Wielkopolsce sypano ospe, nie owies) przerobili ludzie na symbol wszelkiej sprzedajności i marnego grosiwa, które się człowiekowi za sprzedajność słuszenie należy.

Wiadomo, że do żłobu pecha się kto może, a głównie moi przeciwnicy. Polityczni i tacy sobie zwykli. Ale nikt jeszcze nie określił swego własnego przepychania się łokciami jako stawanie przy żłobie.

Wycofuję więc ten żłób, skreślam żłób, zgola po londyńsku żłób „canceluję“. Kierują mną inne pobudki.

Jakie? W ogóle skąd się Pan tu znowu wziął panie J.P.H.? Co pan za jeden? I gdzie Pan bywał ostatnio?

## Cóżem zacząć?

Kiedys, dawno, zastanawiał się nad moją osobą, foro publico, sam Juliusz Mieroszewski w „Kulturze“. Było to „przed laty wielu, gdy był krótko po złotym weselu“ jak pisał śp. Artur Maria Swinarski o Emilu Zegadłowiczu. Mieroszewski znalazł wnet odpowiedź na trapiące go pytanie i to odpowiedź prawdziwą — co zdarza się niekiedy nawet dziennikarzom. Szkoda, bo przestał się mną interesować.

Później „snuło wnioski“ na mój temat. Czyniono ze mnie „jednego lecz w paru osobach“. Albo „parę osób w jednej“. Nazywano mnie „barokowym szlagonem“ (to ładnie), „różowym intelektualistą“, „czarwonawym półmędrkiem“, „reakcyjnym liberałem“. Lub po prostu czyjąś „wtyczką“.

Tym co mnie z „Orla“ pamiętają przedstawiać się nie muszą. Tym zaś co pod moją w „Orle“ nieobecność zasilili szeregi jego czytelników (mam nadzieję, że jako płatni abonenci) przedstawiać się nie powinienem, albowiem napisano „iż po dziełach ich poznać ich“, co się każdemu dziennikarzowi należy słuszenie, choć wielu jest takich, których po dziełach nie rozpoznano i tym powodzi się najlepiej.

Co powiedziawszy przystępuję do pierwszego tematu: —

O rozpoznawaniu, rozgryzaniu, rozszyfrowaniu i rozpracowywaniu —

„Powiedz mi co czytasz a powiem ci kim jesteś“ — orzekł kiedyś jeden z mędrków. To wspaniała maksyma. I jak każda maksyma przydaje się piszącemu pisać nie myśląc, przez co zaoszczędza sobie bólu głowy. Od niczego tak głowa nie boli jak od myślenia.

Dygresja Nr 1. Lecz dziś maksyma o czytaniu i jestestwie traci na aktualności z powodu zaniku umiejętności czytania czegokolwiek poza nagłówkami gazet i programem telewizyjnym. Należałoby ją

# MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

zmienić, dostosować do potrzeb współczesności. Na emigracji należałoby się więc zapytać: „Powiedz mi czy patrzysz na Coronation Street w ITV czy na Panorame w BBC a powiem ci czy jesteś już tylko członkiem Polonii brytyjskiej czy ciągle jeszcze bogatym w ambicje intelektualne emigrantem politycznym“. A z tego jak tę „Panoramę“ skomentujesz wyniknie jasno czy jesteś niezłomny i stojący na barykadzie zbudowanej z urzesłanek moralnych oraz wolnościowo-dogłębnych czy też stoczyłeś się na poziom zębego obiektywizmu, na modłę Anglików, którzy stracili imperium, zdewaluowali funta, skomla u wrót Europy, sprzedali nas w Jalcie i żyją za amerykańskie pieniądze.

**I. Rozpoznanie.** W przyzwoitym systemie partyjno-policyjnym rozpoznanie jest czynnością niejako wstępną, podstawową. Można je przeprowadzić łatwo na podstawie kilkunastu ankiet personalnych jakie obywatel PRL w ciągu życia wypełnia i porównując je ze świadectwami pracy, kartami meldunkowymi, opinią sekretarza POPu, księgą ewidencyjną izby wytrzeźwień i zwykłymi donosami. Na tej podstawie rozpoznany otrzymuje nową fiszkę w nowej kartotece, która posłuży komu należy, gdzie należy i kiedy należy lecz nigdy z korzyścią dla rozpoznanego.

**II. Rozgryzanie** jest czynnością trudniejszą. Stosuje się je w obliczu takiego kandydata na awans, degradację, paszport zagraniczny, skierowanie do przychodni położniczej, przyjęcie do PZPR, zwolnienie z szeregów partyjnych, udzielenie pochwały, udzielenie nagany, przydział mieszkania, wpisanie na listę amatorów „Polskiego Fiata“ w Motorzbycie — który nie mieści się „w określonych kategoriach“.

Przedmiotem procesu „rozgryzania“ jest na przykład obywatel, o którym wiadomo, że „chwaląc osiągnięcia PRL w jednej dziedzinie, wyraża się sceptycznie o osiągnięciach w innych dziedzinach“. Albo taki co zarabia 2.343 zł netto, ale kupuje niemiecko - republikańsko - demokratycznego „Warburga“ za złotych sto czterdzieści tysięcy. Albo taki co przodując na zebraniu dyskusyjnym Podstawowej Organizacji Partyjnej, cytuje całe strony z „Argumentów“, ale bierze ślub u świętej Anny. Funkcja „rozgryzania“ obywateli trwa długo i daje godziwe zatrudnienie tysiącom współobywateli w milicji, urzędach bezpieczeństwa, urzędach ewidencji ruchu ludności i innych instytucjach z biurem kontroli partyjnej włącznie.

**Dygresja Nr 2.** Emigracja nie dysponuje prawidłowym aparatem rozgryzającym. Stąd ogromna odpowiedzialność czynnika społecznego i ochotniczej funkcji zwanej indywidualną czujnością obywatelską. Prawidlowo prowadzone kartoteki musi zastąpić obciążająca pamięć czynność „zakonotowywania sobie“. Przedmiotem rozgryzania i zakonotowywania bywa zwykle osobnik, który choć jada obiady w „Ognisku“ nie należy do żadnego Koła Oddzia-

lowego. Albo taki co choć abonuje „Dziennik“ nie czyta felietonów czwartkowych.

**III. Rozszyfrowywanie** to z kolei robota wyższego rzędu. Najlepiej ją wykonywać w zespole. Jeszcze lepiej, gdy można uruchomić kilka zespołów o sobie niewiedzących i rozszyfrowujących wyniki rozszyfrowywania innych zespołów. Na przykład zespół MSW rozszyfrowuje zespół biura kontroli partyjnej. Zbowid rozszyfrowuje dwójkę sztabu generalnego. Zespół biura prasowego KC rozszyfrowuje zespół cenzury czasopism. Cenzura czasopism rozszyfrowuje Związek Literatów. Kliszko (z zespołem) rozszyfrowuje sam siebie. Moczcz rozszyfrowuje Gomulkę. Gomulka Moczczara. Szlachcic Moczczara i Gomulkę. Moczcz z Gomulką rozszyfrowują Franciszka Szlachcica. Wszystkich razem rozszyfrowuje PAX. (PAX'u nie trzeba rozszyfrowywać, bo jest rozszyfrowany i w tym jego niezależność i siła).

Rozszyfrowywanie wymaga rzecz jasna dużych nakładów czasu i pieniędzy. Jest zajęciem pracochłonnym. Aparatura rozszyfrowywania zapobiega bezrobociu. Bo na jednego rozszyfrowwanego wypada od dwudziestu do dwustu specjalistów od rozszyfrowywania.

**Dygresja Nr 3.** Emigracji nie stać na rozszyfrowywanie. Jest to przykład niedorozwoju społecznego dyktowanego przez warunki obiektywne.

**IV. I wreszcie „rozpracowywanie“** — kwintesencja rozpoznawania, rozgryzania i rozszyfrowywania. To czynność prawdziwie intelektualna, działanie twórcze. Nie wystarczy dokonać analizy dzieł Prezesa Związku Literatów Polskich i dojść do wniosku, że wszystko to już przed nim napisał Romain Rolland a chociaż zrobił to lepiej to przecież tylko po francusku. Natomiast połamanie żeber Stefanowi Kisielewskiemu zaliczyć można do rozpracowywania doprowadzonego do logicznego końca.

Lecz jeszcze nie do perfekcji. O nie. Bo perfekcja wymaga rezultatów z pozoru nieosiągalnych. Perfekcję osiągnięto wieszając Berię na podstawie niezbitych dowodów, że był przez całe życie agentem MI 5, i to marnie płatnym. Perfekcją było by dostarczenie dowodów sądowych, że Brigitte Bardot jest mężczyzną. Albo że Rolf Hochhut to tylko jeden z pseudonimów Tadeusza Nowakowskiego.

Rozpracowywanie nie ogranicza się do stwierdzania faktów, opisu faktów i wyciągania z faktów wniosków, tudzież zwykłego naciągania faktów. Rozpracowywanie tworzy fakty i fakty unieważnia. Każdemu według potrzeb.

Bez rozpracowywania nie byłoby ani planowania, ani osiągnięcia, ani prześcignięcia. Nie byłoby postępu. Bez rozpracowywania ludzkość miałaby przed sobą pustkę ideologiczną zamiast kroczyć świetlaną drogą do społeczeństwa bezklasowego, całkowicie rozgryzionego i rozszyfrowanego.

## Rocznica „wydarzeń marcowych“

To już rok. Już rok dzieli Polskę od ocenizowania „Dziadów“ Mickiewicza i zdjęcia ich ze sceny Teatru Narodowego. Od wieców studenckich i gorliwej interwencji bojówkarzy z ORMO. Od okładania studentów kijami, kopania na dziedzińcu Politechniki, od zamykania do więzień śledczych, relegowania, zawieszania i czego kto jeszcze chce. Rok od spazmu prerażenia w warszawskim „białym domu“ Komitetu Centralnego.

Dziewiętnastego marca minie rok od przemówienia towarzysza Wiesława w sali zebrań Pałacu Kultury.

W marcu ubiegłego roku rozpoczął się rok wezbrania podłości i zalewu podłością życia narodu polskiego. Mielśmy w swych dziejach lata trudniejsze i lata boleńsze. Nie było jednak roku tak podłego. Był to rok, w którym żołnierze polscy na rozkaz Moskwy i jej pruskiego sprzymierzeńca z NRD poszli pod Hradec Kralove, by służyć hasłu „Za naszą i waszą niewolę“ na ziemi czeskiej. Był to rok, w którym partia wynalazła syjonizm, rewizjonizm, trockizm. Rok, w którym pisarstwo polskie postanowiono zdegradować do poziomu Brychta i Putramenta, publicystykę do poziomu Machejki, a naukę do poziomu samego Gomulki.

Bywały lata złych wróżb. Rok ostatni był rokiem złych czynów.

Ale chyba także rokiem wróżb. Złych czy dobrych?

To zależy z czego kto chce wróżby wysnuwać. Jeśli z trzewi nie tyle ptaków co aparatu partyjnego — wróżby będą złe. Jeśli z fusów zalegających mózgi partyjnych biurokratów — wróżby będą jeszcze gorsze. Lecz jeśli kto będzie wróżył z serc i myśli młodzieży polskiej?

Pomyślmy tylko. Dwadzieścia pięć lat wychowania w propagandzie, w warunkach bytowych, gdzie tylko upodlenie daje szanse życiowe, bez skali porównawczej, bez źródeł informacji. A przecież słowo wolność znaczy w jej słowniku to samo co znaczyła zawsze i co zawsze będzie znaczyć.

## Niebezpieczeństwo daltonizmu

Żył na przedmieściu Marsylii Monsieur Ragoût. Dziwne nazwisko, kulinarne można powiedzieć. Pan Ragoût miał restaurację. Niewielką ale przytulną. Z doskonałą kuchnią.

Lubił w niej dosiadać się do klientów, gawędzić, doradzać co warto zjeść a co wypić. Przy okazji załatwiał interesy. Bo pan Ragoût nie ograniczał swej aktywności do jednej tylko dziedziny. Za restauracją miał garaż. Niewielki. Taki sobie rzemieślniczy, gdzie ci wszystko zrobią z każdym wozem. Bez czekania i tanio.

(Dokończenie na str. 36)

## POLSKOŚĆ NA WYŻSZYCH UCZELNIACH SZWAJCARSKICH

Ze śmiercią nieodżałowanego prof. Alfonsa Bronarskiego zakończył się właściwie okres, gdy naukę języka polskiego i polskiej literatury wykładał Po'ak. Prof. Bronarski był bowiem profesorem Literatury i języka polskiego na Uniwersytecie Katolickim we Fry-



Tadeusz Sarnecki lektor języka polskiego i literatury polskiej na Politechnice Zuryskiej

(Dokończenie ze str. 35)

Specjalnością garażu pana Ragoût było odnawianie karoserii, lakierował jak złoto. I był w tym złoty interes.

Policjanci z sąsiedniego posterunku nawiedzali chętnie restaurację pana Ragoût. Policjanci interesowali się menu w restauracji pana Ragoût nie interesując się wcale garażem.

A szkoda.

Bo pewnego razu z garażu pana Ragoût wyjechał odnowiony Mercedes. Nie nadzwyczajnego, codziennie wyjeżdżały z garażu odnowione wozy, lśniące pięknym nowym lakierem. Tym razem jednak jeden z policjantów zdziwił się zobaczywszy, że Mercedes jest w połowie czerwony a w połowie zielony. Dziwny gust klienta? Nie tylko. Bo wóz był zielony z jednej a czerwony z drugiej strony.

Garaż pana Ragoût był od lat centralą handlu skradzionymi samochodami. Zmieniało im kształt i kolor tuż za kuchnią restauracji w miłych oparach bouillabesse. Niestety pan Ragoût był daltonistą. Zielony i czerwony to w siatkówce pana Ragoût ten sam kolor. Skończyła się jedna puszka farby, sięgnął po drugą.

Co za pech. Zwłaszcza że i nabywca skradzionego Mercedesa nie odróżniał kolorów.

J. P. H.

## Z ŻYCIA POLSKIEGO

burgu i lektorem literatury polskiej na uniwersytecie w Neuchâtel. Po jego śmierci mimo starań fryburskiego rektoratu nie udało się pozyskać profesora polskiego dla tej katedry. Wykładowcą został Niemiec, prof. Jaksche. Trudność polegała w tym, że rektorat żądał, ażeby ten profesor oprócz polskiego objął wykłady również modniejszego obecnie języka rosyjskiego. Jednak dwóch polskich profesorów, którym proponowano to stanowisko niestety odmówiło, tak, że musiano się zadowolić siłą niemiecką. Również na uniwersytetach berneńskim i bazylejskim wykłada prof. Schröder, w Bernie prof. Jaksche, a w Lozannie ubocznie język polski prowadził dotąd słynny szwajcarski lingwista, prof. Regamay, który zresztą władą doskonale językiem polskim. Jedynym więc Po'akiem, wykładającym obecnie język polski i polską literaturę w Szwajcarii jest lektor Tadeusz Sarnecki na Politechnice w Zurychu przy katedrze slawistyki, prowadzonej przez Niemca, prof. Branga, specjalistę w językoznawstwie porównawczym języków słowiańskich, w językach rosyjskich i jugosłowiańskim. Katedra slawistyki założona z inicjatywy zurychskiego radcy kantonalnego, Königa, znalazła w latach 1961/62 w p. Sarneckim doskonałego lektora, traktującego swe zadanie z całkowitym poświęceniem i zapałem. P. Sarnecki jest wychowankiem uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i podchorążym 2 D.S.P., która podczas wojny została internowana w Szwajcarii. Dlatego studiował podczas wojny na uniwersytecie zuryckim, a po wojnie pracując prywatnie, był jednym z założycieli SPK w Szwajcarii. Objął w roku 1962 lektorat języka polskiego, p. Sarnecki postawił sobie za zadanie: 1) skompletowanie polskiej biblioteki (obecnie liczy przeszło 2000 książek) dla słuchaczy, znajdując w tym kierunku życzliwe poparcie władz kantonalnych szwajcarskich w osobie już wspomnianego wyżej radcy Königa, 2) zgrupowanie słuchaczy polskiego w grupach seminaryjnych kilkustopniowych w okresie 5-ciu semestrów aż do samodzielnego opanowania polskiej li-

teratury; 3) wymianę stypendialną między politechniką w Zurychu a polskimi uczelniami, przy czym w tym kierunku p. Sarnecki rozporządza dwoma miejscami, oraz jednym naukowym UNESCO. Ilość studentów nie może być wielka, lecz liczy zawsze około 20 osób, wśród nich są reprezentowani oprócz Szwajcarów — Niemcy, Anglicy, Australijczycy, którzy gorliwie przyswajają sobie trudną naukę języka polskiego, poznają polskie piśmiennictwo i stają się rzetelnymi przyjaciółmi narodu polskiego. Osobisty czar p. Sarneckiego odgrywa tutaj oprócz jego zdolności pedagogicznych niewątpliwie wielką rolę, stwarzając ze swej skromnej placówki żywotny ośrodek promieniującej na słuchaczy polskości, pełnej tradycji i dynamizmu.

Jerzy Paszkowski

### FRANCJA

#### ODCZYT FLEMMINGA

W dniu 24 stycznia br. z inicjatywy Syndykatu Dziennikarzy Polskich we Francji odbył się w Domu Kombatanta w Paryżu odczyt p. G.J. Flemminga autora książki „Polska Mało Znana” i „Czym to się je” pod tytułem „Kontynent Jutra”. Odczyt zagał kol. Marian Czarnecki, prezes SDP. Pan Flemming mówił o Australii, którą przejechał ostatnio wzdłuż i wszerz. Kontynent ten, który jest zamieszkały przez zaledwie 12 milionów mieszkańców, potrzebuje, aby osiągnąć wysoki stopień uprzemysłowienia licznych rąk roboczych. Rząd australijski rozumie ten problem i stara się wzmocnić dopływ emigracji udzielając emigrantom bardzo dobrych warunków, zapewniając im utrzymanie po przybyciu do Australii, ułatwiając znalezienie pracy, udzielając im specjalnej zniżki na biletach lotniczych i okrętowych (koszt biletu lotniczego z Europy wynosi 175 fr., okrętowego — 145 fr.). O zainteresowaniu jaki wzbudził ten odczyt świadczy fakt, że wzięło w nim udział około 100 osób zamieszkałych w Paryżu i okolicy. Na odczycie był obecny p. Goodwin, dyrektor emigracyjny ambasady Australijskiej w Paryżu.

#### ZEBRANIE KOŁA SPK w PARYŻU

W dniu 19 br. odbyło się Walne zebranie Koła SPK w Mondeville. Do Zarządu Koła weszli kol.kol.: Pałeczny Antoni — prezes, Staszak Józef — wiceprezes, Malczewski Stanisław — sekretarz, Blabus Stanisław — skarbnik. Do Komisji Rewizyjnej weszli kol.kol.: Świerczewski Feliks i Owczarek Władysław.

Nowo wybranemu Zarządowi i Komisji Rewizyjnej życzymy owocnej pracy.



Śpiewaczka Cecylia Jaworska

### WYSTĘP CECYLII JAWORSKIEJ W PARYŻU

Kilka tygodni temu w Salli Gavau w Paryżu wystąpiła po raz wtóry Cecylia JAWORSKA, śpiewaczka operowa i znana już publiczności polskiej, francuskiej, rosyjskiej i innej. Nie też dziwnego, że sala wypełniona była po brzegi miłośnikami śpiewu, pomimo dnia powszedniego.

Artystka z wielkim talentem odśpiewała, zgodnie z programem kilkanaście pieśni po francusku, kilka pieśni po polsku i rosyjsku.

Występ naszej Rodaczki był bardzo udany. W czasie przerwy i po zakończeniu imprezy — niekończący się sznur miłośników, udał się do łoża, aby tam raz jeszcze złożyć jej życzenia i gratulacje. Był to chyba najpiękniejszy wieczór, jaki kiedykolwiek oglądaliśmy na deskach scenicznych z Cecylią Jaworską.

Życzymy z całego serca naszej Rodaczce — dalszych sukcesów i pomyślności w jej karierze artystycznej.

Z.C.B.J.

### ZEBRANIE KONFEDERACJI B. KOMBATANTÓW

W dniu 31.I.br. odbyło się w Paryżu zebranie Biura Confédération Européenne des Anciens Combattants (Kon-

federacji Europejskiej b. Kombatantów) pod przewodnictwem jej Prezesa deputowanego i b. ministra p. R. Triboulet. W obradach wzięli udział wiceprezesi Konfederacji pp. T. de Carranza, min. pełnomocny płk. A. de Fougerolle; generał K. Weishaupl oraz inni członkowie biura. W zastępstwie kol. M. Czarneckiego, wiceprezesa Biura, który nie mógł wziąć udziału w zebraniu i obradach SPK było reprezentowane przez kol. J. Żłobnickiego. Obrady otworzył p. Triboulet, który omówił obecną sytuację międzynarodową, konsekwencje agresji sowieckiej wobec Czechosłowacji, sytuację na środkowym wschodzie, a następnie zanalizował ruchy rewolucyjne studenckie oraz problem zjednoczenia Europy. Po exposé p. Triboulet wywiązała się bardzo ożywiona i rzeczowa dyskusja, w której zabierali głos wszyscy obecni.

Po przerwie obiadowej przystąpiono do dalszych obrad poświęconych: obchodom w związku z 25-tą rocznicą bitwy o Monte Cassino, sprawie zorganizowania II-go Forum Europejskiego, stosunkom z organizacjami międzynarodowymi, ustosunkowaniu się do problemu młodzieżowego itd.

Ustalono, że obchody bitwy o Monte Cassino odbędą się w dniach 25-27 maja br. pod patronatem CEAC i że wezmą w nich udział wszystkie Związki b. kombatantów wchodzące w skład Konfederacji. Zebrani wyrazili życzenie aby Federacja Światowa SPK wzięła udział w tych obchodach i prosili o wysłanie możliwie licznej delegacji. Zostało postanowione, że II-gie Forum Europejskie odbędzie się w Wiedniu.

### ZMIANA GODZIN AUDYCJI POLSKICH

Emigracja polska we Francji zaniepokojona jest komunikatem nadanym przez Sekcję polską Radia francuskiego o zmianie godzin audycji w języku polskim, przeznaczonych dla Polaków zamieszkałych w tym kraju. Audycje te były nadawane dotychczas o godzinie 18,30. Obecnie mają być nadawane o godzinie 6-tej rano. Jest sprawą jasną, że o tej godzinie nikt, bądź tylko bardzo ograniczona ilość osób będzie mogła słuchać tych audycji. Z faktu tego Dyrekcja Radia Francuskiego zdaje sobie chyba dokładnie sprawę i jeżeli zdecydowała się mimo to zmienić godziny audycji wiedząc, że stracą one ogromną większość słuchaczy, posunięcie to mogłoby wskazywać, że jest to pierwszy krok zmierzający do skasowania w ogóle audycji polskich. Audycje były słuchane przez Polaków zamieszkałych we Francji, przez tych, którzy przyjeżdżali tu licznie z kraju,

przez Polaków w Belgii i NRF; słuchano również w Polsce.

### POMOC UCHODźCOM CZESKIM

W drugiej połowie września ub.r. zaczęli napływać do Francji pierwsi uchodźcy czescy, aby próbować, bądź osiedlić się w tym kraju, bądź emigrować dalej. Przyjeżdżali oni tu, za bardzo małymi wyjątkami, bez pieniędzy, bez znajomości innego języka poza czeskim i słowackim, prawie bez rzeczy osobistych, najczęściej w letnich ubraniach. Władze francuskie udzielały im bez żadnych trudności i formalności prawa pobytu i pracy, ale przybyli natrafili od razu na wielkie trudności w znalezieniu zatrudnienia, ze względu na sytuację na rynku pracy we Francji. Fakt ten wpłynął na ich decyzję dalszej emigracji za ocean.

Zarząd Oddziału SPK w Paryżu powziął decyzję przyjęcia im z pomocą materialną w formie wydawania bezpłatnych posiłków w stołówce SPK. Jednocześnie Polski Komitet Emigracyjny (PAIRC) z inicjatywy jego dyrektora na Europę p. Ludwika Łubieńskiego, postanowił w porozumieniu z USEP roztoczyć nad uchodźcami czeskimi, rumuńskimi, bułgarskimi i węgierskimi opiekę materialną i emigracyjną. W wykonaniu tej decyzji Delegatura PAIRC we Francji w okresie od 15 września 1968 do 1 stycznia 1969 roku okazała wydatną pomoc 108 uchodźcom zapewniając im bezpłatne posiłki i mieszkanie, załatwiając im formalności wizowe i administracyjne, udzielając im kredytu na pokrycie kosztów przelotu do Stanów Zjednoczonych i Kanady, zakupując im ubrania niezbędne do dalszej podróży itp.

### GWIAZDKA DLA DZIECI

Szkoła Polska Koła SPK Paryż zorganizowała w dniu 16.I.1969 w Domu Kombatanta gwiazdkę dla polskich dzieci i młodzieży. Przygotowały ją panie: Jadwiga Nomarska i Halina Szymańska. Organizatorkom pomagały czynnie pani Krystyna Brodzka z córkami oraz inne panie. Wszystko wypadło jak najlepiej. Przy stołach zastawionych słodyczami i ciastami zasiadły dzieci oraz ich matki, a po spożyciu podwieczorku pod udekorowaną choinką nastąpiło wręczanie upominków, a następnie podpisy dzieci i młodzieży.

### OPŁATEK INŻYNIERÓW i TECHNIKÓW

Tradycyjny, doroczny, „Opłatek“ Stowarzyszenia Inżynierów i Techników

(Dokończenie na str. 38)

Polskich we Francji miał miejsce w dniu 25 stycznia br., w lokalu Polskiej YMCA w Paryżu. Wyłoniony specjalny Komitet Pań zajął się czynnie przygotowaniem tej uroczystości. Do Komitetu tego, któremu przewodniczyła p. Krystyna Starnawska, weszły panie: Brzeska, Bergerowa, Damasiewicz, Hildebrant, Jełowicka, Stońska i Ziemińska.

Pan Dering, prezes Stowarzyszenia po przywitaniu gości omówił sprawę obchodu 50-cioletniej rocznicy powstania Stowarzyszenia, który będzie miał miejsce w czerwcu br., poczem Ks. Infulat Kwaśny przemówił do zebranych składając życzenia obecnym i nieobecnym członkom. Po spożyciu kolacji rozpoczęły się tańce, które trwały do późnej nocy.

### GOURAINCOURT

W ciągu miesiąca stycznia odbyły się prawie we wszystkich osiedlach polskich w rancji „Gwiazdki“ zorganizowane przez miejscową Polonię.

26 stycznia, dzięki staraniom p. Skubisza, została zorganizowana „Gwiazdka“ w Gouraincourt. Ponieważ w uroczystości tej wzięli udział deputowany p. Richoux, Mer p. Bassompierre, zastępcy Merów pp. Gaspary, Grein, Bergantini, uroczystość przybrała charakter manifestacji przyjaźni polsko-francuskiej. W czasie uroczystości wystąpił polski zespół taneczny liceum w Briey kierowany przez p. A. Słabosza, który odtńczył szereg tańców polskich. Występ ten spotkał się z wielkim uznaniem widzów tak polskich jak francuskich. W uroczystości wzięli udział p. Jerzy Jankowski prezes polskich federalistów, któremu Polonia w Gouraincourt zawdzięcza powstanie szkoły polskiej. W „gwiazdce“ wzięło udział przeszło 400 osób. Miejscowa prasa francuska zamieściła obszernie sprawozdanie i liczne fotografie z uroczystości.

### PUTEAUX

Staraniem Komitetu Polskich Rodzin Katolickich i proboszcza parafii polskiej ks. Stawarskiego została zorganizowana w Puteaux w dniu 19 stycznia br. „Gwiazdka“ dla dzieci, która zgromadziła całą Polonię miejscową. Gości powitał prezes Komitetu p. Leszczyna, po czym przemawiał ks. Inf. Kwaśny, ks. Czapla oraz ks. Stawarski. Po przemówieniach odegrane zostały jasełka ułożone przez polskiego inżyniera p. P. Wiszniewskiego, a następnie pod jego kierownictwem wystąpił balet dzieci polskich.

### ARGENTEUIL

W Argenteuil „Gwiazdkę“ urządziła Opieka Szkolna. Uroczystość ta zgro-

## Z TEATRU

# „PERSONY I GRATY“

Zwykłą rzeczą kolejną doświadczony i przedsiębiorczy aktor staje się dyrektorem teatru. Tym razem Mieczysław Malicz na 20-lecie swych występów rewiewo-kabaretowych wziął na siebie obowiązki organizatora przedstawienia, reżysera i autora, zastępując skutecznie nieobecnych od dłuższego czasu Hemara, Ref-Rena, Budzyńskiego, Sądkę et consortes. Dobrał sobie czwórkę utalentowanych koleżanek i kolegę i dał program „Aktualności, piosenek i humoru“.

Przodowała — oczywiście — Renata

madziła ponad 500 osób miejscowej Polonii i z najbliższej okolicy. Uroczystość zagał p. Lulek,, prezes Opieki Szkolnej. Z kolei przemawiali ks. Pranke, p. Majcherczyk, miejscowy nauczyciel polski, a w imieniu dzieci E. Wojtysiak. Po przemówieniach, nastąpiła część rozrywkowa, a więc inscenizacje, deklamacje, śpiew i tańce, wykonane przez polską młodzież szkolną.

### NANCY

W niedzielę 5 stycznia w Nancy w sali p. Urbańskiej odbyła się „Gwiazdka“ zorganizowana staraniem i wysiłkiem tamtejszych rodzin polskich. Ks. kanonika Sołtysiaka powitał p. Wojnowski, po czym wszyscy obecni zasiadli do stołu wigilijnego podzieliwszy się przed tym oplatkiem.

Po spożyciu wieszery odbyła się część artystyczna w wykonaniu dzieci i młodzieży.

### POLSKO-WĘGIERSKI PARYŻ WYRAZA UCZUCIA SOLIDARNOŚCI Z NARODAMI CZECHOSŁOWACJI

W niedzielę 2-go lutego Kościół Polski w Paryżu zapełnił się gromadą Polaków i Węgrów, którzy uczestniczyli we mszy św. odprawionej przez ks. infulata Kwaśnego na intencję zniewolonych narodów środkowo-wschodniej Europy, a w szczególności Czechosłowacji. Przed ołtarzem stanęły poczty sztandarowe węgierskie i polskie, a wśród nich barwna grupa młodych ze sztandarem PSL — Wici.

Nie zabrakło też przyjaciół francuskich. Inicjatywę tego wystąpienia podjęła Rada Wolnych Polaków w porozumieniu z organizacjami polskimi i węgierskimi, zapraszając też emigrantów czeskich oraz przedstawicieli wszystkich innych narodów z za żelaznej kurtyny.

Bogdańska z bogatą wiązką piosenek, z których szczególnie pięknie wypadły „Walc“ Kreislera i „Kujawiak“ Wieniawskiego oraz — z piosenek hiszpańskich — Ballada o Śmierci i „Carmen-cita“. Danuta Philipp, poza konferensjerką towarzyszyła w śpiewie koleżankom i próbowała swoich sił aktorskich w skeczu „Surabaya Johnny“, solówce ze słowami Berta Brechta i z muzyką Kurta Weilla.

Stanisław Zięciakiewicz dawny (tylko nie stary!) weteran nadsценki i aktor charakterystyczny jakby dwoił się i troił w skeczach i monologach, przetkanych docinkami i dowcipami politycznymi. Rzadko sam, jak w „Wy nalazkach“, częściej z innymi, jak w „Azylu“, czy spotkaniach przyjacielskich przy wódce z Maliczem lub jak w zabawnym skeczu „Propaganda“. Oczywiście, Malicz musiał być wszędzie, przed kurtyną, na scenie i za kulisami, i napewno widzom nigdy nie było go za dużo. Szczyt powodzenia zyskał w „Parodiach“ gwiazdorów z „Wagabundy“, Mariana Załuckiego i Romana Kobieli oraz w balladzie o Astronautach. Szkoda, że nie podano gdzie w tej rewii Malicz wystąpił jako autor. Wiadomo, co mogło czy musiało wyjść spod pióra Hemara, a co jeszcze mógł napisać Ref-Ren i Budzyński lub Sądek, ale co było Kryska-Karskiego już trudniej byłoby zgadnąć.

Maria Druce nie tylko akompaniowała całemu programowi, czasem z towarzyszeniem perkusji ukrytego za sceną Czesława Kostanowicza, ale nadto brała czynny udział w niektórych występach śpiewaczych, co było czymś zgoła niespodziewanym. Kilka akcentów dekoracyjnych było dziełem Jana Smorsarskiego. Światłami kierował W. Konkol. Ambicją wszystkich było bawić innych, bawiąc się samemu, i to się zupełnie powiodło. Była to prawdziwa gratka, bez „gratów“.

J.O.N.

### BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

## APELACJA

Powieść

Cena: 15 sh, 2.25 dol. 9.00 F.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.



# WALKA Z CZERWONĄ ZARAZĄ

DWA TYGODNIE temu, przeglądając w biurze papierki, kichnąłem. Nawet nie bardzo głośno. Ot, tak, jak się kicha, kiedy do nosa dostanie się odrobina kurzu. I nawet nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie siedzący przy drugim stoliku Sewilski, który podniósł głowę i popatrzył na mnie z niepokojem.

— Kichasz? — zapytał, jakby wymagał potwierdzenia tego doniosłego faktu.

Trochę mnie to zirytowało. Cóż u licha, człowiek nawet kichnąć nie może, żeby mu na to nie zwracali uwagi?

— Przede wszystkim nie kicham, a kichnąłem jeden raz — powiedziałem ostro. — A po drugie sam słyszałeś, więc po co pytasz?

Pokiwał głową ze smutkiem.

— Zaczyna się — mruknął, jakby do siebie. A potem demonstracyjnie przeniósł krzesło na drugą stronę stołu i usiadł plecami do mnie.

— Zwariowałaś? — oburzyłem się. — Cóż to, już mi i kichnąć nie wolno? Cóż to za jakieś idiotyczne demonstracje?

Nie odwracając głowy, powiedział:

— Masz grypę Mao-Tse-Tunga, tę z Hong Kongu. Powinieneś natychmiast iść do domu, bo pozarażasz cały personel biurowy.

Zerwałem się od stołu.

— Człowieku! — krzyknąłem. — Jedno kichnięcie nie świadczy o grypie! Po prostu zakreśliło mi się w nosie i kichnąłem. Proste, nie?

Ale Sewilski był nieublagany.

— To się zawsze zaczyna od kręcenia w nosie i kichania — wyjaśnił. — Potem przychodzi gorączka ponad czterdzięci stopni, łamanie w kościach i w ogóle jesteś do niczego. A jeszcze później wszystko przepada, jak ręką odjął, tylko temperatura spada ci nagle poniżej trzydziestu sześciu i robisz się słaby, jak nowonarodzone dziecko. Jak dobrze pójdzie, wracasz do pracy po dwóch — trzech tygodniach.

Przestraszyłem się. Ostatecznie, kuzynka Sewilskiego była w czasie wojny pielęgniarką w szpitalu, więc facet powinien znać się na medycynie.

— A jak pójdzie źle? — zapytałem z lekkim drżeniem w głosie, którego nie udało mi się ukryć.

Sewilski zrobił znaczący ruch ręką.

— Kaput! — powiedział. — Ubezpieczony jesteś, prawda? No, to nie masz się czego martwić. Wdowa swoje dostanie. I w biurze też jej wypłacą — dodał po namyśle. — Wiesz, powiedz jej tylko, żeby zaraz wszystko zainwestowała. Akcje ciągle idą w górę, a wartość pieniądza spada.

— Jak ty możesz! — zawołałem, miotając się po pokoju. — I to się nazywa przyjaciół! Ja tu umieram, a ten mówi o inwestycjach!

Sewilski zdziwił się.

— No, wiesz, to chyba najlepszy dowód, że jestem twoim przyjacielem, skoro myślę o losach twojej żony, gdy ciebie zabraknie.

Wybiegłem z pokoju, jak burza. Wpadając do biura kierownika, wykrzyknąłem:

— Panie kierowniku, proszę o zwolnienie! Mam grypę Mao-Tse-Tunga! Muszę natychmiast iść do lekarza! Albo nawet — dodałem, zastanowiwszy się — muszę wezwać lekarza do domu!

Moje słowa wywołały popłoch. Sekretarka kierownika schowała się za kotary, spoza której widać było tylko jej przerażone oczy. Dwaj interesanci galopem wybiegli na korytarz. Kierownik cofnął się pod ścianę, zasłaniając twarz chustką do nosa.

— Proszę natychmiast opuścić biuro i nie wracać do chwili, kiedy lekarz uzna pana za zdolnego do pracy — powiedział niewyraźnie, bo chustka mu przeszkadzała w mówieniu, ale stanowczo.

Wychodząc, słyszałem jeszcze, jak mówił do sekretarki:

— To skandal, żeby ludzie w takim stanie przychodzili do biura! Może spowodować epidemię!

Doktor Dojda zaczynał przyjęcia o jedenastej, więc przez godzinę wałęsałem się bez celu po ulicach, cofając się pod ściany przy spotkaniu przechodniów, aby nie szerzyć zarazy.

Gdy wreszcie jako pierwszy znalazłem się w poczekalni i drzwi do pokoju przyjęć otworzyły się przy akompaniamentie sakramentalnego zwrotu: „Następny, proszę!”, wypowiedzianego przez doktora wprowadzić po angielsku, ale z nieomylnie słowiańskim akcentem, powitany zostałem jowialnie.

— Aa, pan Franciszek — uśmiechnął się Dojda. — Rzadki gość, rzadki gość! Powitać! Cóż to pana sprowadza w moje niskie progi? Wygląda pan kwitnąco, aż pozazdrościć! Żebym to ja tak wyglądał w pańskim wieku...

Trochę mnie to wypominanie różnicy wieku oburzyło, bo, ostatecznie, co znaczą te dwa lata po pięćdziesiątce?

— Niestety, panie doktorze, wyglądem o niczym nie świadczy — powiedziałem, jak mi się przynajmniej wydawało, z wyraźnym akcentem ironii. — Mam grypę Mao-Tse-Tunga.

Muszę przyznać, że doktor zachował się tak, jak przystało na przedstawiciela służby zdrowia. Wprawdzie lekko pobladł, ale nie cofnął się spoza biurka ani krokiem. Tylko ton jego stał się od razu poważny, jak przystało na powagę chwili.

— Pewien pan jest? — zapytał, otwierając swój notes. — Jakie objawy?

— Kicham, panie doktorze — zakomunikowałem, zgodnie z prawdą.

— I co jeszcze?

— Jak dotąd — nic.

Dr Dojda wydawał się trochę rozczarowany.

— Może to początek kataru? — zasugerował z wahaniem.

— Katar? — Tym razem nie już nie pokrywało ironii w moim głosie. — Katar? Czy pan przypuszcza, że niepokoiłbym pana zwykłym katarem?

Po spojrzeniu doktora widziałem, że mój argument trafił mu do przekonania.

— Hm — powiedział zwolna, bawiąc się stetoskopem. — Tak istotnie. To może być początkowe stadium grypy Mao.

— Co mam robić, panie doktorze? — zapytałem gorączkowo. — Mam nadzieję, że w tak wczesnym stadium łatwiej panu będzie zwalczyć te wchodnie wirusy?

Dr Dojda zdjął z nosa okulary w ciemnej oprawie i przetarł oczy.

— Nie będę przed panem ukrywał, panie Franciszku, że sprawa nie jest taka prosta. Przede wszystkim, nie wiem jeszcze, czy w pana przypadku mamy do czynienia z wirusem typu A czy B.

— To są aż dwa typy tej grypy? — zapytałem z przerażeniem.

Dojda uśmiechnął się pobłaźliwie.

— W tej chwili znane są jej dwie odmiany — wyjaśnił. — Ale może ich być równie dobrze kilka, czy kilkanaście. Wobec tego trudno jest zdecydować, jakich antybiotyków użyć w pańskim wypadku. A poza tym — tu doktor zniżył poufnie głos — publiczną tajemnicą jest, że dotychczas stosowane lekarstwa przeciw grypie Mao nie odniosły oczekiwanego skutku.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, panie doktorze, że w moim wypadku medycyna jest bezsilna? — postawiłem sprawę na ostrzu noża.

— No, aż tak źle nie jest — pośpie-

(Dokończenie na str. 40)

szyl z zapewnieniem doktor. — Moze pan, na przyklad, napić sie goracej herbaty z rumem. Whisky takze dobrze robi na tego rodzaju dolegliwosci.

— Wystawi mi pan recepte na rum? — zapytalem z nadzieja w glosie.

— Niestety, tego rodzaju lekarstw nie wydaje sie w ramach swiadczen państwowej sluzby zdrowia — z usmiechem wyjasnil Dojda. — Ale moze pan zamiast tego zażyć aspiryne.

— To wszystko? — ton rozczarowania, dzwiezcący w moim glosie, musial być bardzo wymowny, bo doktor szybko dodal:

— Ja, naturalnie, zapisze panu pewien preparat — trzy razy na dzien po pastylce po jedzeniu. A tymczasem dam panu zwolnienie z pracy do czasu wyjasnienia sprawy.

— Na jak dlugo?

— Inkubacja grypy moze potrwać do trzech, czterech dni. Wobec tego niech pan przyjdzie do mnie w piątek, dobrze? Wtedy zobaczymy.

Przez trzy dni siedzialem w domu, patrzyłem na telewizje, lykałem pigulki doktora Dojdy i sluchalem uwag zony.

— W gazetach pisza, ze epidemia grypy Mao nie rozwinela sie w Anglii jak tego oczekiwano, ale ty, naturalnie, zawsze musisz być tym wyjatkiem — uskarzala sie — daczego Sewilski, Astrachanski, czy chociazby doktor Dojda nie zachorowali na grype, a ty wlasnie musisz? Mama miala racje, kiedy mi mowila itd., itd.

Naturalnie, nie pozostawalo mi nic innego do zrobienia, jak zachowywac wyniosle milczenie w obliczu tego rodzaju zarzutów. Z drugiej strony nie poprawialo to wcale mego samopoczucia, wiec z ulga pobiegłem w piątek do doktora Dojdy. Ten zapytal mnie o objawy, a uslyszawszy, ze objawów brak, ostukal mnie dokladnie i powiedzial z triumfem:

— Zwyciężyliśmy, panie Franciszku! Dzieki wczesnej interwencji nie pozwoliliśmy chorobie rozwinac sie. W poniedzialek moze pan wracac do biura.

Ucieszyłem sie, ale jednak chcialem sie jeszcze upewnic.

— Ale to byly poczatki grypy Mao-Tse-Tunga, prawda, panie doktorze? — zapytalem.

Doktor zawahal sie.

— Trudno miec pewnosc, skoro nie dopusciliśmy do inkubacji choroby. Ale to mogla być grypa Mao — dodal szybko.

Dumny ze zwyciestwa, odniesionego nad czerwona zaraza, poszedłem w poniedzialek do biura. Troche mnie zdziwilo, ze kolezdy i kolezanki jakoś usuwai sie z przejscia i znikali na mój widok z pokoju. Dopiero Sewilski wyjasnil wszystko:

— Stary (to znaczy kierownik) jest na ciebie wsciekly — powiedzial, — Zreszta sam ci to na pewno powie, bo kazal cię do siebie przyslac natychmiast po powrocie do pracy. Lepiej idz do niego od razu.

Kierownik spojrzal na mnie z odrazą.

— Ladne rzeczy mi tu pan wyprawial — wybuchnal. — Przychodzi pan do biura z azjatycka grypa i wszczyna pan epidemie. Dziewiec wypadków grypy w ciagu tygodnia, rozumie pan? Myslałem, ze tak stary i doswiadczony pracownik, jak pan, nie bedzie tak lekko-myślny. Ale skoro pan juz jest z powrotem, niech pan chwiloowo przejdzie do sekcji B, do pomocy, bo tam brakuje az trzech osob.

W trzy dni po przejściu do sekcji B po powrocie do domu zaczalem kicach, jak najety. Poczulem tez silne łamanie w koscicach, a rtęć w termometrze skoczyla powyzej trzydziestu dziewięciu. Wezwany przez zone doktor Dojda z nieukrywana satysfakcja powiedzial:

— No, tym razem nie ma najmniejszej watpliwosci, panie Franciszku. Ma pan piekna grypkę Mao-Tse-Tunga.

— Przeciez pan mowil, zesmy ja pokonali, panie doktorze? — jeknałem.

— Najwidoczniej tamto nie byla wcale grypa. Mowilem przeciez panu, ze nie mozna być pewnym.

Wobec tego leze w lozku od tygodnia

z temperatura, patrze na telewizje, lykam pigulki i slucham uwag zony:

— No tak, Sewilski dzwonił i powiedzial, ze tamte wszystkie wypadki to wcale nie byla grypa Mao. Wszyscy juz wrócili do biura, tylko ty jeden musiales ja zlapac. Naturalnie, ty zawsze chcesz być inny. A kierownik jest wsciekly na ciebie. Powiada, ze to nie fair, zeby najpierw brac cztery dni wolne bez powodu, a potem nagle zachorowac na kilka tygodni. Uwaza, ze tamte pierwsze cztery dni powinno ci sie potracić z urlopu.

I powiedzcie sami, daczego taki Mao sam nie zachoruje na wlasna grype, tylko ja tu eksportuje? I daczego wlasnie ja? Nie ma sprawiedliwosci na tym swiecie.

Kiedy wstane, wezme udzial w studenckich demonstracjach. Wprawdzie maja w nich strasznie duzo bardzo dziwnych haseł, ale moje bedzie chyba najoryginalniejsze: „Nie nie jest zbyt dobre dla przewodniczacego Mao — nawet jego grypa!“

## Książki nadesłane

Św. Tomasz z Akwinu, SUMA TEOLÓGICZNA t. 25, Bóg-człowiek syn Maryi, przełożył i objaśnieniami zaopatrzył ks. St. Piotrowicz, nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas“ Londyn.

Eugeniusz Jarra, HISTORIA POLSKIEJ FILOZOFII POLITYCZNEJ 966-1795. Nakł. Księgarnia Polska „Orbis“, Londyn, 1968.

WYDARZENIA MARCOWE 1968, z przedmową prof. Zygmunta Bauman, wyd. Instytut Literacki Paryż, 1969.

Henryk Grynberg, ZWYCIĘSTWO, powieść o losie Żydów w Polsce w czasie okupacji i w pierwszym okresie powojennym, nakł. Instytut Literacki, Paryż, 1969.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csąky, 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

STANISŁAW WYGODZKI

## ZATRZYMANY DO WYJAŚNIENIA

*Powieść-dokument obrazujący rzeczywistość Polski Ludowej przed październikiem 1956, która obecnie nabiera ponurej aktualności.*

Stron 208

Cena: 30sh. 16.50 F. 3.75 dol.

**Księgarnia S.P.K.**

20, Queens Gate, Terrace,  
LONDON, S.W.7.

B.D.I.C

# DLA SZKÓŁ

Już są do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojezycznych:

ANNA BOGUSŁAWSKA

## POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

*Przewodnik dla nauczyciela*

Cena: 10 sh.

JADWIGA OTWINOWSKA

## UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

*105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda*

Cena: 3 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

## ROZMYŚLANIA

ANDRZEJ SACHAROW

o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej

Cena: 7 sh. 1.00 dol., 4.00 F.

**Księgarnia SPK**

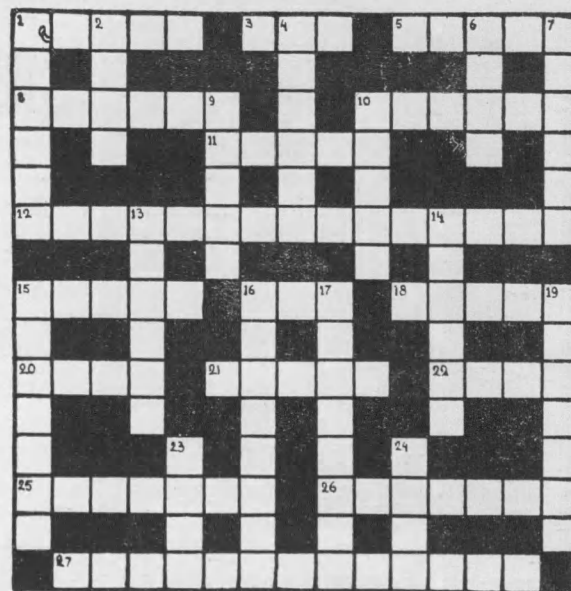
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W.7.

## KRZYŻÓWKA NR 613/69

### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) postać Mickiewicza z obrony Warszawy; 3) i 16) brak porządku; 5) pierwsza myśl w ołówku?; 8) nieprawdziwa świadomość; 10) imię płka Sławka; 11) u Żeromskiego wierna; 12) Pomorze z Malborkiem i Warmią, po Traktacie Toruńskim (dwa słowa); 15) i 18) autor „O Naprawie Rzeczypospolitej“; 20) w nim trudność, l.m.; 21) wyspa Tyberiusza; 22) co do niej, to dokładnie; 25) niepokój; 26) chińska ozdoba (wspak); 27) powieść, której akcja rozgrywa się w szkole kieleckiej.

**Pionowe:** 1) spory, niezbyt smaczny kawał; 2) i 6) najadł się strachu z powodu miecza; 4) pływające cyfry (wspak); 7) sumienie sprawliwego?; 9) „Jak śnieg biała“; 10) strzela koperczaki w talii; 13) „Książę Radziwill-sierota kazał ten sprzęt na urząd w Wenecji zrobić, i wedle własnych planów po polsku ozdobić“; 14) popularny żołnierz czeski; 15) imię sultanów; 16) nieprawda; 17) bez rezultatu; 19) królowa hiszpańska; 23) towarzyszą statkom; 24) dom mody.



trybut, 8) drużba, 10) madera, 11) kasha, 12) Śluby Panięskie, 15) i 18) świętoszek, 20) Iwan, 21) prasa, 22) ława (wspak), 25) estrada, 26) o la Boga!, 27) groch z kapustą.

**Pionowe:** 1) świder (wspak), 2) i 6) ciupasem, 4) Nestor (wspak), 7) upalne, 9) opoka (wspak), 10) Madej, 13) błędny, 14) sąsiad, 15) świętek, 16) Barabas, 17) tęsknota, 19) kołczan, 23) walc, 24) uraz (wspak).

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 612/69

**Poziome:** 1) i 5) racja stanu, 3) i 16)

JÓZEFA MEKARSKA

## WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

*Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojezycznych*

## ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

*Opowieść o chłopcach z Legionów*

Cena: 9/-

**KSIĘGARNIA S.P.K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

!!! Najpraktyczniejszy podarek w nowym roku !!!

to  
**KALENDARZYK KOMBATANTA**

zawiera m.in. kilkaset adresów organizacji polskich w świecie, firm handlowych, daty imienin, mapkę kolejki podziemnej w Londynie. — Cena 7 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7.

**GRYF PUBLICATIONS LTD**

Paweł Zaremba

**HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH**

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.



Gryf Publications Ltd

**SIENKIEWICZ  
ŻYWY**

16 rozpraw naświetlających  
żywo i wszechstronnie  
sylwetkę najpopularniejszego  
z pisarzy polskich

Cena: 30 sh.

**GRYF PUBLICATION LTD**

BIBLIOTECZKA „BAWIĘ SIĘ I CZYTAM“

Anna Bogusławska

**U BABCI I DZIADKA**

Książeczka z ćwiczeniami dla dzieci  
przerabiających końcową część elementarza

Cena: 8sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W.7.

**INSTYTUT LITERACKI**

Paryż — 1969

DOMINIQUE DE ROUX

**ROZMOWY  
Z GOMBROWICZEM**

Cena: 15/6; 15.00 F.; 3.75 dol.

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W.7.

**BIBLIOTEKA  
„KULTURY“**

TOM 151 — SERIA  
„ARCHIWUM REWOLUCJI“

ALEKSANDER  
WEISSBERG-CYBULSKI

**WIELKA CZYSTKA**

Przekład  
ADAMA CIOLKOSZA

Ze wstępem  
GUSTAWA  
HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Wstrząsający dokument  
z okresu stalinizmu.

Cena sh. 50/-, F 30, col 6, 0

**ZBRODNIA  
KATYŃSKA**  
W ŚWIELE DOKUMENTÓW

z przedmową  
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

**THE CRIME  
OF KATYN**  
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.